

KAMIONA

LUBLIN

30.IV.1961

Nr 8 (222)

ROK XXVIII

CENA 2 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

W NUMERZE: Perspektywy • Lepiej mówić i pisać po polsku! • Bohaterowie odchodzą • Książka lubelska zdobywa uznanie • Excelsior • Z dziejów jednej biblioteki • Drugi Konkurs „Kamiony” • Modrzejewska w Lublinie • W stronę młodych • I in.

NASI REPREZENTANCI

91,83% wyborców głoszących 16 kwietnia, 98,34% ważnych głosów oddanych na kandydatów Frontu Jedności Narodu — oto znane już wszystkim obywatelom piękne wyniki wyborów dla całej Polski.

Na Lubelszczyźnie, gdzie frekwencja wyborcza w poprzednich wyborach była z reguły niższa od przeciętnej krajowej, tym razem głosowało około 97% wyborców. Na liście FJN padło w naszym województwie 99% ważnych głosów. Społeczeństwo Lubelszczyzny akceptując drogi rozwoju wskazane przez FJN w programach wyborczych wykazało swą dojrzałość polityczną. Posłowie naszego województwa uczestniczyć będą w pracach Sejmu z poczuciem ogromnego powierzenia, jakiego udzieliło im społeczeństwo. Nazwiska tych posłów znane są czytelnikom. Ale oto kilka dodatkowych informacji dotyczących naszych reprezentantów.

A więc mamy posłów w wieku:

od 21 do 30 lat	— 1
od 31 do 40 lat	— 6
od 41 do 50 lat	— 11
od 51 do 60 lat	— 9
ponad 60 lat	— 1

Najstarszym posłem Lubelszczyzny jest Kazimierz Maj. Najmłodszym — Julia Wasilewska.

Pochodzenia robotniczego mamy posłów	— 8
— chłopskiego	— 13
— z inteligencji pracującej	— 7
Według wykonywanego zawodu weszło od nas do Sejmu:	
— robotników	— 2
— chłopów	— 2
— działaczy partii politt. i administracji państw.	— 14
— naukowców	— 4
— literat	— 1
— przedst. WP	— 1
— pracowników instytucji gosp. spółdzielczych i państwowych	— 4

Zyczymy wybranym przez nas posłom Lubelszczyzny owocnej pracy. Sobie i czytelnikom — najpełniejszego wykonania zamierzeń zawartych w wojewódzkim programie wyborczym.

CZERWIENIA się cegła nowe domy w Kamionce, Michowie, Firleju i innych lubartowskich wsiach. Ponad polami niesie się warkot ciągników, wre praca w licznych zakładach przemysłu terenowego, życie nie gnuśnieje w miejscu. Więc choć nie brak w nim trosk, każdy dzień dzisiejszy uznać trzeba w nim za sprzyjający, bo każdy przynosi zmiany na lepsze. Zacierają się obrazy przeszłości, coraz rzadziej stanowią one temat wspomnień.

W historii ziemi lubartowskiej są jednak wypadki, o których zapominać nie wolno. Do nich należy słynny „marsz na Lubartów” mieszkańców kilkunastu wsi w pierwszomajowy dzień 1931 roku.

CI CO GARDZILI ŚMIERCIA

Jeden z bojowników KPP, niezapomniany Antoni Jakubowski był wielbicielem Słowackiego. Zwykł on mawiać, że nie ma do każdego z poległych ko-

mieckich, których rękami miał być zburzony Związek Radziecki.

W półkolonialnych warunkach ekonomicznych Polski robotnicy nękani byli bezrobociem i narastającym wyzyskiem, chłopci cierpieli na brak ziemi i źródeł dodatkowego zarobku, zahamowany został rozwój oświaty, a młode pokolenie wstępowało w życie bez nadziei na lepsze jutro.

W takich warunkach hasła głoszone przez komunistów padały na podatny grunt.

TO BYŁO TAK...

Bliskim współpracownikiem Małeckiego był w latach trzydziestych Stanisław Grądek. Niezmożony go sanacyjne więzienia, ominęły faszystowskie kule podczas walk w oddziałach AL. Żyje on do dzisiejszego dnia w Zurawim Bagnie. W kwietniowy, pachnący soczystą zielenią wieczór oprowadzał mnie po wiosce. Od południa i północy las podchodził po same jej brzegi.

KARTKA Z PIERWSZOMAJOWEJ HISTORII

ADOLF LEKKI

munistów można zastosować cytaty z „Beniowskiego”.

...w życiu swoim namartwił się bardzo
A umarł, choć był z tych, co śmiercią gardzą.

Przypomniałem sobie o tym, gdy moi rozmówcy z Lubartowa Julian Filippek, Bolesław Stawinoga i Tadeusz Kołodyński, naoczni świadkowie i uczestnicy „marszu”, opowiadali mi o jego organizatorach, komunistach. Jednym z tych organizatorów był ówczesny prezes powiatowy Zjednoczonej Lewicy Samopomoc Chłopskiej, organizacji powstałej po zlikwidowaniu Niezależnej Partii Chłopskiej, Teofil Małeckil z Zurawiego Bagna. Do dzisiejszego dnia żyje w tej miejscowości jego syn Mieczysław.

— Zbyt wiele nie mogę powiedzieć o działalności ojca — mówił do mnie — z dwóch powodów: ojciec ściśle przestrzegał zasad konspiracji obowiązującej komunistów, a po drugie więcej przebywał w więzieniach niż na wolności. Nie zachowywał się też po nim żadne pamiątki. W latach okupacji zakopałem je w ziemi, a po wyzwoleniu wy dobyłem tylko próchno.

Ze skąpych relacji dowiedziałem się, że Teofil Małeckil legalnie był prezesem ZLChS, a w konspiracji sekretarzem komórki KPP. Czterokrotnie aresztowany za działalność polityczną przez władców międzywojennego dwudziestolecia, zginął w pierwszych latach wojny w katowni hitlerowskiej.

Namartwił się w swoim życiu dużo i to nie tylko o los własnej rodziny. Komuniści zdawali sobie przecież sprawę z faktu, że będąca u władzy burżuazja zaprzedała Polskę obcemu kapitałowi. Magnaci angielskiego, amerykańskiego i francuskiego kapitału podporządkowywali sobie w pełni władców sanacji. Wraz z uzależnieniem gospodarczym przyszło zaprzeczenie samodzielności politycznej. Przewrót Piłsudskiego w 1926 roku, dokonany z inspiracji Anglii, oznaczał zmianę mocodawcy. Z satelity podupadającej Francji Polska stała się satelitą Anglii i już wtedy przeznaczona była na ofiarę dla militarystów nie-

dzisiaj wzdłuż zabudowań błęgiej piękna asfaltowa droga, która niegdyś była tylko brukowanym gościńcem. Wszystko to jest ważne, każdy szczegół ma znaczenie. Stanisław Grądek opowiada:

— Zaczęło się od Powiatowego Zjazdu ZLChS, który odbył się 2.II. 1931 roku w naszej wsi. Nie mieliśmy odpowiedniego lokalu, a że moja stodoła jak zwykle na przednówku świeciła pustkami, oddałem ją do dyspozycji organizatorów. Zjazd miał na celu wybór zarządu, ustalenie planu pracy i rozbudowę organizacji. Przybyło wtedy ponad 500 osób. Tylko na liście znalazło się 280 podpisów. Rzecz oczywista, że nie wszyscy pomieścili się w stodole. Ludzie stali pod gołym niebem, młodzi umieszczali się nawet na dachu. A w lasach otaczających wieś okopały się oddziały policji. Ktoś usłużny doniósł władzom o imprezie, więc choć ZLChS była organizacją legalną, policja powzięła pewne środki ostrożności. Dla nikogo przecież nie było tajemnicą, że w tej na wpół legalnej organizacji trzon stanowią członkowie KPP.

Na tym Zjeździe podjęta została uchwała o zwołaniu wiecu w Lubartowie, w dniu 1 Maja. Na wiec przybyć mieli w sposób zorganizowany mieszkańcy wszystkich okolicznych wsi. Szczegóły przygotowania wiecu rozpracować miała specjalna grupa towarzyszy. Znalazłem się również w tej grupie. Zjazd zakończył się spokojnie. Policja nie zaatakowała zebranych tłumów, które dopiero pod osłoną nocy rozeszły się do domów.

Pierwsze zebranie dla przygotowania manifestacji 1-majowej odbyło się w Lublinie. Z tego wysunął wniosek, że w organizacji wiecu zainteresowane są także obwodowe władze KPP. Drugie zebranie odbyło się w Lubartowie u Tomasiaka, a trzecie u mnie w Zurawim Bagnie. Zgodnie z planem opracowanym na tych zebraniach manifestanci mieli przybyć do Lubartowa 1 Maja w trzech zwartych kolumnach. Pierwszą kolumnę formował mieszkańcy Antonina i Sobolewa, drugą manifestanci z Firleja, Przypisów-



Mjr Jurij Gagarin w dniu 12 kwietnia 1961 r.

WIERA INBER

Już z mroku czasów legendarnych po tajemnicze sfer niebieskich człowiek wyrwał się w bezmiary nie szczedząc trudów, gardząc klęską. Przyroda mu wzięła skrzydła: „Daremnne twe usiłowania, ja synem ziemi cię stworzyłam, kazałam żyć do końca na niej”. Lecz syn nie poddał się rozkazom, zuchwałych prób się nie wyrzekł, dziś żadne moce nie wymażą historii zwycięstw człowieka. Przelamał ziemskie opory, odwieczne grawitacji prawo i stanął cały świat otworem przed jego ruchem niewstrzymanym. A więc nadeszła ta godzina, która przemienia w czyn marzenia, — co ludzkość chwala i opromienia, jej nowe dzieje rozpoczyna. Po wszystkie niezliczone ery w pamięci ludzi pozostanie Kolumbem gwiazdnych oceanów radzieckiej ziemi lotnik-heros.

Spolszczyła Maria Bechzye-Rudnicka

Z pieśni na ustach
W błękitnych chustach
Z czerwonym sztandarem
Serc zegarem
Odmierza czas
Rewolucji.

Płynię zwycięski
Aleją Alej,
Wciąż naprzód
Wciąż dalej.

Zbrodniarzom lonty
Wyrzywa z dłoni,
Ręce obrońców
Pokoju spłata
Nad dynamitem
Świata.

Ładu Czarnego
Rozjaśnia zle noce,
Pieśnią: „Przeklety
Powstań Ludu”...
Jak ongiś carom
Korony złote
Kolonialistom
Leb druzgoce.

Płyn Maju szerokim,
Wartkim strumieniem.
Niech lud oddycha
Zieloną nadzieją.
Płyn z pieśnią na ustach
W błękitnych chustach
Z czerwonym sztandarem
I serc zegarem
Odmierzaj czas
Rewolucji.

Kartka z pierwszo- majowej historii

(Dokończenie ze str. 1)

ki, Serocka, Łukowca i naszej wsi. Trzecia iść miała od Michowa, przez Kamionkę.

Zaczął się gorączkowy okres przygotowań. O zainteresowaniu manifestacją wśród społeczeństwa niech świadczy fakt, że nawet bezpartyjni przygotowali transparenty, że nawet oni byli agitatorami tej sprawy. W miarę upływu czasu narastała temperatura. Kierownictwo zaleciło wprawdzie, aby manifestacja odbyła się spokojnie, bez żadnych rozruchów, lecz wśród młodzieży krążyło zaczęło powiedzenie: „niech nas nie zaczepiają”, a nawet starsi zaciskali pięści. Krzywdy i wyzysku każdy miał dosyć. O przebiegu samej manifestacji nie mogę niestety opowiedzieć. Siedziałem wtedy w więzieniu.

STAD PADŁ PIERWSZY STRZAŁ

Organizatorzy manifestacji chcieli przeprowadzić ją jak najbardziej legalnie. Do Starostwa Powiatowego w Lubartowie skierowane więc zostało podanie, podpisane przez Szezępana Miturę i innych; o wyrażenie zgody na wiec. Jak było do przewidzenia, starosta załatwił podanie odmownie. Nie dość na tym. Władze postanowiły zabezpieczyć się przed ewentualnymi rozruchami i „profilaktycznie” aresztowały ponad 40 osób, w stosunku do których istniał choćby cień podejrzenia o przynależność do KPP. Zamknęły się wtedy bramy więzienia za prezesem ZLChS Maleckim, aresztowano Grądkę, Radomskiego, Drozdka i wielu innych.

Lecz raz rozpoczętych przygotowań nie było w stanie zatrzymać. 1 Maja na głównych traktach, drogach i ścieżkach polnych pojawiły się tysiące ludzi. Szli wszyscy do Lubartowa, aby żądać pracy i chleba, zerwania z prohitlerowską polityką zagraniczną, a wreszcie zniesienia obozów koncentracyjnych i złagodzenia ucisku.

Uczestnicy tego marszu, wspomniany już przeze mnie Filipek, Stawinoga i Kołodyński prowadzą mnie ulicami miasta. Zatrzymujemy się za przejazdem kolejowym, na drodze wiodącej do Kamionki i Michowa. Po lewej stronie tej drogi widać kompleks hal fabrycznych lubartowskich „Sylkatorów”, bliżej stoją domy mieszkalne.

Pragnąc poinformować naszych Czytelników jak najdokładniej o perspektywach rozwoju gospodarczego województwa lubelskiego w nowej pięcioletce, zwróciliśmy się z prośbą o artykuł do przewodniczącego W.K.P.G. (Red.)

Analiza okresu minionego

Z początkiem 1961 roku weszliśmy w nowy okres realizacji zadań kolejnego pięcioletniego planu rozwoju gospodarczego Polski Ludowej, jednego z ogniw długofalowego programu przebudowy naszej gospodarki na zasadach socjalistycznych.

Zmiany zachodzące w ekonomice całego kraju lub poszczególnych jego części są widoczne dla każdego mieszkańca miasta i wsi. Wielkie zakłady przemysłowe, nowe osiedla mieszkaniowe, nowe szkoły, szpitale, zelektryfikowane wsie, zmieliorowane łąki i pola, zbudowane drogi o gładkich nawierzchniach — przemawiają bezpośrednio do wyobraźni każdego obywatela naszego kraju. Istotą i tempem rozwoju gospodarczego możemy jednak uzmysłowić sobie w sposób dostateczny dopiero w dłuższych okresach cza-

— Wtedy nie było tych zabudowań. Stały tutaj trzy chałupy pokryte słomą i drewniany wysoki krzyż. Stąd właśnie wywodziła się nazwa tej rogatki: „Przy krzyżu”. Tu nasz pochód natrafił na kordon policji. Zatrzymaliśmy się niedziedzycowani — opowiada Filipek. — Komisarz policji polecił, byśmy wyszli do niego delegację, która powie, jakie są nasze żądania. Porozumieliśmy się szybko. Poszedł w naszym imieniu Chwalisz z Wyrk i dwóch innych. Ludzie rozsiadli się nad rowami, rozpełzli się po polach, aby przedrzeć się do miasta. Czekaliśmy, a nikt z nas nie wiedział, że policja gra na zwłokę, że zatrzymała naszą delegację, by doczekać się posiłków z Lublina.

Około jedenastej przed południem oczekiwana przez policję posiłki nadszły. Poszły w ruch pałki i kolby karabinów. Wtedy i naród nie wytrzymał. Zakotłowało się. Kamienie z przym, kije wyrwane z pól stanożyły naszą broń. Na czele pochodu szedł wtedy Gryglicki z Gawiówki. Niósł czerwony sztandar. On też padł od pierwszej salwy. Podbiegł do niego brat, aby udzielić mu pomocy. I jego trafiła policyjna kula. Do mnie podbiegł jakiś baczysty policjant. Chciał strzelić w biegu, jednak zaciął mu się karabin. Chwylił się za bary. Podczas szamotaniny policjant porzucił karabin. Ktoś zabrał go i zaczął strzelać do policji. Zwyliśmy w tych zapasach z policjantem. Dostrzegłem, że sztandar po zabitych Gryglickich nieśie Reszka z Sobolewa, podbiegłem jeszcze kilka kroków i wtedy trafiła mnie w brodę rozpryskowa kula, jedna z tych, których użyła policja dla stłumienia manifestacji.

Stawinoga i Kołodyński dokończyli relacji. Podobnie jak „Przy krzyżu” na mur bagnietów natrafiła kolumna maszerująca od Firleja. Gdy padły pierwsze strzały, gdy do tej kolumny dotarła wieść o walce, jaka się toczy w innej części miasta, pękły zwarce dotąd szereg. Jedni wycofali się, inni pobiegli polami na pomoc towarzyszą. Policja nie była w stanie zatrzymać tego potoku ludzkiego.

Podczas walk z policją, wspomaganą przez „Strzelca”, „sokolów” itp., padło trzech zabitych manifestantów, a 18 odniosło rany. Wiec w Lubartowie nie doszedł do skutku, lecz sapacyjni władcy otrzymali jeszcze jedną lekcję poglądową na temat rzeczywistych nastrojów mas.

POMNIK BOHATERÓW

Na miejscu, gdzie padli bracia Gryglicy, nie stoi żaden pomnik. Potrafią je jeszcze wskazać żyjący współtowarzysze. W Żurawim Bagnie, wsi wslawionej zarówno walkami z sanacyjnym uciskiem, jak i z hitlerowskim najazdem, nie ma żadnej tablicy pamiątkowej. Ale to wcale nie oznacza, że poszła w niepamięć ofiara każdego z tych co:

...w życiu swoim namartwił się
bardzo
A umarł, choć był z tych,
co śmiercią gardzą.

Najlepszym pomnikiem pamięci bohaterów jest wcielanie w życie tych idei, za które oni ginęli. Przypominać o nich powinny nam nowe szkoły, domy mieszkalne, zakłady produkcyjne. Przypomni nam o nich czerwien sztandarów pierwszomajowych i swobodny, pełen radości nastrój naszych manifestacji.

Adolf Lekki

Perspektywy

BRUNON WILCZEWSKI

su i w wyniku pewnej wszechstronnej analizy ekonomicznej. Dlatego dobrze zrobimy jeśli weźmiemy pod uwagę okres lat dziesięciu obejmujący dwie pięcioletki, a mianowicie okres minionego planu pięcioletniego w latach 1956—1960 oraz pięcioletki realizowanej w latach 1961—1965.

Na wstępie warto poświęcić nieco uwagi przeszłości Lubelszczyzny, tj. okresowi poprzedzającemu etap rozwoju w latach 1956—1965.

Jak wiemy, Lubelszczyzna w okresie międzywojennym była regionem bardzo zacofanym. Według danych Spisu Powszechnego z roku 1931 województwo posiadało zaledwie 19,1% ludności miejskiej. Przy ogólnej liczbie 3.259 gromad tylko 48 wsi było zelektryfikowanych. W rolnictwie osiągnęto bardzo niskie plony. Mówią o tym przeciętne dla lat 1934—1938, które wynosiły dla pszenicy 12,4 q, dla żyta 11,4 q, dla ziemniaków 136 q, a dla buraka cukrowego 187 q z ha. W województwie lubelskim w roku 1937 było 17.494 robotników zatrudnionych w przemyśle, a liczbę bezrobotnych szacowano w tym czasie na 40 tysięcy osób. Niezależnie od tego na wsi występowały poważne rezerwy siły roboczej w postaci tzw. zbędnych rąk do pracy.

1950	1951	1952	1953	1954	1955	1956	1957	1958	1959
					w mln zł				
947	1394	1412	1847	1621	1518	1750	1663	2084	2392
					w %				
100	147	149	195	171	160	185	176	220	253

Ludność miejska w stosunku do ogółu ludności województwa wzrosła z 19,1% w roku 1931 do 24,8% w 1960 r. W samym Lublinie liczba mieszkańców wzrosła z 116,6 tysięcy w 1950 r. do 174,8 w 1959 r., tj. o 58,2 tysięcy osób.

	z 12,5 q w r. 1934/38	do 18,3 q z ha w 1959 r.
Pszenica	z 12,5 q	z 18,3 q
Żyto	z 11,4 q	z 15,4 q
Ziemniaki	z 136 q	z 137 q
Buraki cukrowe	z 187 q	z 238 q

Wzrosła obsada pogłowia zwierząt hodowlanych, co ilustruje poniższe zestawienie:

	Na 100 ha użytków rolnych było w roku 1938	bydła rogatego 39,6 szt.	trzody chlew. 38,2	owiec 5,0 szt.
w roku 1959	41,5	68,9	16,1	

Osiągnięcia te były możliwe dzięki aktywności i inicjatywie ludzi pracy naszego województwa. Są one konsekwencją realizowania programów Frontu Jedności Narodu i słusznej polityki Partii i Rządu Ludowego.

Obszar i ludność

Województwo lubelskie obejmuje 24.823 km² czyli 7,9% ogólnej powierzchni kraju i jest trzecim według wielkości (po województwach warszawskim i poznańskim). Zamieszkuje nasze województwo 1.810 tysięcy osób, co stawia je na 6 miejscu pod względem liczby mieszkańców. Gęstość zaludnienia wynosi 73 osoby na 1 km², co stawia nasze województwo na 12 miejscu pod względem gęstości zaludnienia.

Na terenie województwa ludność nie jest rozmieszczona równomiernie. Najgęściej zaludnioną częścią województwa jest Powiśle (powiaty: krański, polski i puławski) i tereny Wyżyny Lubelskiej (powiaty: bychawski, bełżycki, lubelski, krasnostawski i zamowski). Najmniejszą gęstość zaludnienia wykazują tereny wschodnie (powiaty: biański, parczewski, włodawski, chełmski i hrubieszowski), północne (lukowski, radzyński, lubartowski) i południowe (tomaszowski, biłgorajski i janowski).

Gęstość zaludnienia na 1 km² waha się od 93 osób w powiecie lubelskim do 31 osób w powiecie włodawskim.

W ubiegłym pięcioleciu nie notowaliśmy większego odpływu ludności poza granice województwa. Gęstość zaludnienia więc wzrasta i gdyby utrzymała się nadal obecne tendencje wzrostu ludności, województwo posiadałoby w roku 1965 — 1.943 tysiące mieszkańców, czyli o 133 tysiące osób więcej niż w 1960 roku, a gęstość zaludnienia wzrosłaby z 72 do 78 osób na km².

Problem ten w powiązaniu ze strukturą zatrudnienia i rozmieszczeniem ludności jest bardzo poważny.

Rozwój życia
gospodarczego
województwa
w latach 1955—1960

Aktualną sytuację województwa w dziedzinie produkcji przemysłowej

Bogactwa naturalne województwa, surowce pochodzące z nadwyżek produkcji rolnej, możliwości rozbudowy bazy surowcowej w rolnictwie oraz uzdolnienia ludności były wykorzystywane tylko w nieznacznych stopniach.

Po wyzwoleniu Polska Ludowa zmuszona była oczywiście włożyć wielki wysiłek w odbudowę zniszczonego wojną i okupacją kraju. Okres odbudowy trwać musiał do roku 1950. Dopiero od tego czasu mógł nastąpić okres przebudowy społeczno-gospodarczej kraju, a w tych ramach i naszego województwa.

O zmianach przemian, jakie nastąpiły w województwie lubelskim, niech świadczą przytoczone poniżej dane:

W r. 1950 zatrudnionych w gospodarce narodowej było 168,6 tys. osób w r. 1955 — 222,6 „ „ w r. 1959 — 263,1 „ „

Zaniedbane w ciągu wieków i niedoinwestowane województwo lubelskie otrzymuje od roku 1950 wciąż wzrastające nakłady inwestycyjne, co pozwala choć stopniowo, ale stale podnosić na wyższy poziom sytuację gospodarczą.

W przeliczeniu na ceny 1956 roku nakłady inwestycyjne w gospodarce uspołecznionej w poszczególnych latach przedstawiały się następująco:

Wybudowane zostały w tym czasie nowe miasta i osiedla, jak Świdnik, Kraśnik Fabryczny, Poniatowa, Rejowiec Fabryczny i inne, w których ludność w 1960 r. wynosiła łącznie 29,8 tysięcy.

Plony głównych ziemiopłodów wzrosły jak następuje:

charakteryzują następujące wielkości. Wartość produkcji globalnej w 1960 r. wynosiła 10 miliardów 900 milionów zł, co stanowi 2,2% produkcji krajowej. W przeliczeniu na głowę ludności wartość ta kształtowała się w naszym województwie na poziomie 6.092 zł. Wskaźnik ten w roku 1955 wynosił 3.149 zł, czyli wzrósł w okresie minionych pięcioletni prawie dwukrotnie.

Podobnie kształtują się wskaźniki zatrudnienia w przemyśle i rzemiośle. W 1960 r. zatrudnionych w tej dziedzinie było 77.847 osób, w roku zaś 1955 tylko 61.713. Stanowi to wzrost w okresie ubiegłej pięcioletki o 16.134 osoby czyli o 26,1%. W przeliczeniu na 1000 mieszkańców w roku 1960 przypadało 43,4 osób zatrudnionych w przemyśle i rzemiośle, w roku zaś 1955 wskaźnik ten wynosił 36,0 osób.

W okresie minionych pięcioletni na terenie województwa oddano do użytku szereg nowych obiektów przemysłowych. Ważniejsze z nich to wielka nowoczesna cementownia w Chełmie, zakłady betonów lekkich w Lubartowie, wytwórnia win w Chełmie, zakłady mięsne w Zamościu, fabryka obuwia w Łukowie i inne. Poważnie zostały rozbudowane kluczowe zakłady przemysłu metalowego, a zwłaszcza Fabryka Samochodów Ciężarowych w Lublinie.

Pomimo stosunkowo szybkiego tempa uprzemysłowienia w województwie, jakie miało miejsce w latach 1955—1960, Lubelszczyzna pozostaje jeszcze w dalszym ciągu regionem wybitnie rolniczym. Województwo nasze odgrywa bardzo poważną rolę w krajowej produkcji rolnej, a jego udział w tej produkcji wynosi blisko 9%. W latach 1955—1960 produkcja globalna rolnictwa w przeliczeniu na jeden hektar użytków rolnych wzrosła z 7.030 zł w 1955 r. — do 8.090 zł w 1960 r., tj. o 15%.

Pogłowię bydła rogatego wzrosło z 693 tysięcy sztuk w 1953 r. do 767

(Dokończenie na str. 11)

BY CAŁY NARÓD lepiej mówił i pisał po polsku...

STANISŁAW K. PAPIERKOWSKI

NIE lubię Bernarda Shaw. Nie lubię go z powodu wielu nieprzyjemnych cech jego charakteru: nie lubię go ze względu na jego obojętny, zimny stosunek do nas Polaków, mimo że właśnie my, że nasze teatry przodują wśród wszystkich narodów w wystawianiu jego scenicznych dorobku. Nie lubię Bernarda Shaw jako człowieka, ale szanuję go i schylam głowę przed nim jako świetnym dramaturgiem. Szanuję go za jego stosunek do języka. Bo to właśnie on w swojej wyborczej komedii „Pygmalion” zwrócił kapitalną uwagę na fakt, że wystarczy zwykłą kwiaciarce nauczyć poprawnej fonetyki, by uczynić z niej damę z towarzystwa.

Jakaż to charakterystyczna ilustracja roli prawidłowej wymowy głosek w procesie posługiwania się przez jednostkę i naród poprawnym językiem! Bo sprawa poprawności językowej to sprawa fonetyki, fleksji i składni, a nie tylko semantyki, jak to wydaje się niektórym ludziom. Poprawności językowej, o którą troska zjawiała się w naszym narodzie bardzo późno, bo dopiero w okresie renesansu, kiedy nasz język narodowy liczył już sobie lat kilkadziesiąt. I ledwie się zjawiała, a już urosła do walki o język narodowy. Do walki przeciw średnio-wiecznej chropowatości i nieporadności językowej, do walki przeciw panoszącej się łacinie.

Sprzyszyły walce o polski język narodowy czynniki różne: i rosnąca świadomość narodowa, i wzory obce, zachodnio-europejskie. Różne też wzięły w niej udział społeczne środowiska: krakowscy drukarze i bakałarze, zwolennicy obozu reformacji i — przede wszystkim — czołowi pisarze polskiego renesansu. Walka ich zakończyła się pełnym zwycięstwem — łacina musiała ustąpić miejsca językowi narodowemu. Niestety nie na całe następne stulecia, powszechny bowiem regres naszej kultury na przełomie wieku XVII i XVIII spowodował bolesne zahamowanie rozwoju języka polskiego. Po raz więc wtóry w dziejach trzeba było stanąć w obronie narodowej mowy — trud ten wzięli na swoje barki ludzie oświeceni, którzy, jak ich ideowi poprzednicy, walkę o język wygrali.

A potem przyszedł „wstrząs” romantyczny, który oswoił naszą mowę z reguł i więzów klasycystycznych. Rozległy się potężne głosy wyrażające stosunek do języka w ogóle i stosunek do słowa jako środka artystycznego kształtowania. Zapewniał Mickiewicz, że „język kłamie głosowi, a głos myślom kłamie”, marzyło się Słowackiemu, „by język giętki powiedział wszystko, co pomyśli głowa”, ubolewał Norwid, że

„gdy wciąż wszyscy mówią, mało kto się pyta,
Jaki też jest sens słowa, jak słowo się czyta
W sobie samym. I dziejów jego promień cały
Rozejrzeć mało kto jest ciekawy,
zuchwały.

Oparty na tradycjach starszych i romantycznych, okrzepły w swojej dostojnej formie odezwał się nasz język raz jeszcze w pięknej apostrofie Staffa:

Tyś nasza twierdza, tarcza, opieka
i obrona,
Ojczyśta, święta mowa, bądź z serca
pozdrowiona!
Bądź z serca pozdrowiona, ojczyśta,
święta mowa,
Niby łańcuchem złotym wiąże nas
twoje słowo.

Leży — kiedy ludziom mającym ciągle żywy kuit języka ojczystego wydawało się, że mowie ojców naszych nie zagraża już żadne niebezpieczeństwo, na naród polski runął kataklizm potwornej drugiej wojny światowej. Zburzyła ona, zdeptała i sponiewierała wszelkie wartości: materialne, duchowe i moralne. Pozostała po sobie ruiny, w których legło się zło. Nie oszczędziła również naszego języka, zalewając go groźną falą chwastów i wykoślawień, obcych naleciałości i przejawów zwulgaryzowania. I oto raz jeszcze stanąć nam trzeba do bezwzględnej, uporczywej walki o naszą mowę, o jej w ciągu 1000-lecia nagromadzone piękno i dźwiękowy koloryt.

Kiedy dziś czyta się polskie publikacje, kiedy słucha się audycji polskiego radia, kiedy rozmawia się z Polakami bez względu na to, czy są nimi najbliżsi znajomi, nauczyciele czy młodzież szkolna, słuchającego i rozmawiającego ogarnia głęboki lęk o przyszłość naszej pięknej ojczystej mowy. Tyle w niej bowiem na co dzień i od święta objawów niepokojących. Nie chodzi tu jednak wcale o jakieś purystyczne zabiegi chirurgiczne, nie

chodzi o pewne nielogiczności w języku takie, jak: „kolorowa bielizna” czy „porcelanowa miednica”; nie drażnią człowieka obdarzonego głębokim poczuciem językowym i żywiącego w sobie kuit ojczystego języka liczne w naszej mowie wyrazy obce, które od dawna zyskały sobie prawo obywatelstwa; nie wypowiadamy walki pewnym wyrazom, wyrażeniom i zwrotom o charakterze gwargowym czy prowincjonalistycznym; nie chodzi tu nawet o z rzadka a żartobliwie używane wyrazy żargonowe, ale idzie o te niestety tak częste w dzisiejszej polszczyźnie przejawy zwykłego niechlujstwa językowego, jakie stwierdza się w języku współczesnego pokolenia nazywającego siebie mianem Polaków. Należą do tych przejawów niechlujstwa językowego wyrażenia i zwroty w rodzaju: „Przyjechałem ze szczebla wojewódzkiego po linii kontraktacji...”, „Zajmowaliśmy się tym na świetlicy”, „Wysłano go na szkołę”, „Koleżanka, która siedzi na drugim okienku”, „Idziemy na stołówkę” itp. oraz typowo studenckie: „w dechę”, „niech skoczę”, „nie dostałem akademika”, „no to szufla”, „niech w kurnik skoczę” i wiele tym podobnych.

Przyczyny tego zjawiska nie budzą wątpliwości. Ogół Polaków zadawała się faktem mechanicznego posługiwania się mową ojczystą nie troszcząc się wcale ani o jej treść, ani o jej formę, nie dbając choćby o najskromniejszą znajomość własnego języka. A przecież mówić po polsku i znać język polski — to niezupełnie to samo. Znać język to znaczy: umieć wyjaśnić sobie i innym jego rodowód, budowę i rozwój; znać język to znaczy: rozumieć i umieć wyjaśnić jego typowe zjawiska oraz ich powiązanie z odpowiednimi zjawiskami języków pokrewnych; znać język to znaczy — by przykładów nie mnożyć — wyrobić sobie kuit mowy ojczystej, który każe dbać o czystość i poprawność językową na każdym kroku i przy każdej sposobności, który zniewala do wypełniania z języka ojczystego wszelkich zbędnych naleciałości i chwastów, jakie zakradły się do niego na przestrzeni ostatnich lat i zakradają nadal, zanieczyściły go i spługały, zamazały i zamazują jego bogactwo słownikowe i jego dźwiękowy koloryt.

Myliłby się jednak każdy, kto by sądził, że troska o język i wynikająca z niej walka o czystość i poprawność językową to sprawa nielicznej grupy językoznawców (ci zresztą najmniej do niej się garną) albo nieco liczniejszej grupy miłośników języka polskiego, — walka o język ojczysty jest sprawą całego polskiego narodu, jej zaś przesłanki tkwią nie tylko w dumie narodowej, ale i w założeniach natury ideowej.

Zagadnienie czystości i poprawności językowej wiąże się ściśle z patriotycznym wychowaniem młodzieży i społeczeństwa, jako jeden z postulatów w dziedzinie wychowania nowego człowieka. Walka o poprawność językową ma olbrzymie znaczenie w odniesieniu do młodzieży robotniczej i wiejskiej, urasta do roli naczelnego czynnika ideowo — politycznego na naszych ziemiach odzyskanych, uzbrojenie więc młodzieży i całego narodu w doniosły oręż, jakim jest sprawny i poprawny język, ma głęboką wymowę ideową.

Na przestrzeni naszych dziejów obserwowaliśmy zjawisko holdowania przez tzw. „sfery górne” narodu estetyzmu — wszystko co piękne, przetyczono dla owych rzekomo „wyższych sfer”, dla warstw natomiast społecznie „niższych” miała wystarczać literatura drugorzędna, często „moralnie obojętna”. Dlatego piękny, poprawny język był między innymi legitymacją umożliwiającą wstęp do „wyższych sfer”, do udziału w rządzeniu państwem, do wpływów na losy społeczeństwa. Dzisiaj jednolity, poprawny język służy całemu narodowi, dlatego walka o jego czystość i poprawność jest czynem głęboko demokratycznym. Jest więc obowiązkiem całego narodu walka o to, by cały naród lepiej mówił i lepiej pisał po polsku.

Znajomość i umiłowanie języka ojczystego wiąże się ściśle z procesem kształtowania naukowego poglądu na świat, język bowiem zły, niechlujny i zachwaszony, a wskutek tego mało komunikatywny, wprowadza wiele nieporozumień do dyskusji warunkują-

cych odkrywanie prawdy, która stanowi istotę naukowego widzenia świata i jego zjawisk.

Język jest jednak istotnym i decydującym czynnikiem nie tylko w walce o prawdę i wiedzę, ale również w walce o wydajną, wartościową pracę i postęp. Praca jest przecież społecznym praktykowaniem naukowych teorii, te zaś formułowane w języku złym, nie dość jasnym, gramatycznie wadliwie zbudowanym, mogą ulec wypaczeniu lub wręcz błędnemu zastosowaniu. Walka o pracę w dziedzinie języka — to ciągły łańcuch ćwiczeń, które stosowane od najmłodszych chwil życia człowieka doprowadzą do tego, że zdobycze języka ogólnonarodowego staną się osobistymi, indywidualnymi zdobyczami jednostki posługującej się tym językiem.

Walka o postęp wymaga umiejętności dostosowania słownictwa do aktualnych potrzeb społecznych. Każde bowiem zjawisko społeczne, gospodarcze, polityczne i kulturowe, każdy

wynalazek i każde odkrycie, wynik racjonalizatorstwa i nowatorstwa natchnionych znajdują swoją nazwę językową, ta zaś swoją gramatyczną formę, po czym wchodzi do języka na pobyt czasowy lub trwały, jako jego komunikatywne elementy. Tą również drogą język jako narzędzie myśli i środek porozumiewania się staje się koniecznym łącznikiem pomiędzy pokoleniami tego samego społeczeństwa, zapewnia narodowi jego ciągłe trwanie i rozwój.

Nauka języka ojczystego w domu, w szkole i poza szkołą jest nauką myślenia i to myślenia prawidłowego, ubierając równocześnie nasze myśli w szlachetną formę słowa. Walkę o język sprawny i poprawny podejmować więc trzeba na wiele lat przed przyjściem dziecka do szkoły. Podając ją i systematycznie prowadzić powinni rodzice dziecka, których obowiązkiem jest przemawiać do niego językiem normalnym, bez karygodnych spieszczeń i przeinaczeń. Fatalne błędy popełnia każda matka, każdy ojciec, a zwłaszcza wścibska babka czy ciotka, przemawiając do dziecka jakimś „dziecięcym” językiem jako dla dziecka rzekomo bardziej zrozumiałym. Nie zdają sobie sprawy tego rodzaju rodzice i wychowawcy z tego, ile trudu i zbędnego wysiłku podejmować musi później wychowawczyń przedszkół i nauczycieli w szkole, by wypełnić z języka dziecka wprowadzone

(Dokończenie na str. 11)

BOHATEROWIE ODCHODZĄ

LESŁAW GNÓT

MOTTO

„...Ja jestem z motłochu,
z ostatniej holoty. Ty nie możesz mieć wyobrażenia, jaki jest motloch. Nie możesz nawet objąć tego dalekim przecuciem, co leży w jego sercu. Jesteś z innej kasty... Kto sam z tego pochodzi, kto przeżył wszystko, wie wszystko... Tu ludzie w trzydziestym roku umierają, bo są już starcami. Dzieci ich — to idioci.

— Ale cóż to ma do nas?
— Przecież ja jestem za wszystkim odpowiedzialny... Ja lekarz...

— Tylko ty jeden?
— Otrzymałem wszystko co potrzeba... Muszę to oddać com wziął. Ten dług przekleństwa... Nie mogę mieć ani ojca, ani matki, ani żony, ani jednej rzeczy, którą bym przycisnął do serca z miłością, dopóki z oblicza ziemi nie znikną te podle zmory. Muszę wyrzec się szczęścia. Muszę być sam jeden. Żeby obok mnie nikt nie był, nikt mnie nie trzymał...”
Zeromski — „Ludzie bezdomni”.

— To jest bardzo smutne — w głosie starego nauczyciela wyczułem gniew i hamowane łzy — Tyle pracy włożyłem w to, aby wszczepić im w duszę choć trochę altruizmu, przywiązać do rzeczy szlachetnych i pięknych, a oni... wypisują takie rzeczy. Zobacz zresztą sam.

Mam w ręku szary uczniowski zeszyt. Taki sam, nad jakim śleczalem przed laty. Temat wypracowania też identyczny: „Dlaczego Judym jest moim ideałem?” Ale treść zupełnie inna.

„Nie uważam doktora Judyma za swój ideał. Przeciwnie, śmiesz mi i denerwuje. Uważam, że postępował bardzo głupio i nierozważnie. Każdy, kto chce dokonać czegoś w dziedzinie społecznej, nie może działać samotnie, ale wspólnie z innymi. Judym — chociaż chciał dobrze, ale zawsze przegrywał, bo był sam przeciwko wszystkim...”

Przeglądam inne zeszyty. Zarzuty powtarzają się, słowa uznania i pochwały są wymuszone i nieszczerze. Sprawa jest jasna. Judym nie jest ideałem tej młodzieży.

— I co ty na to? — napiera dalej nauczyciel...

Wybacz mój drogi, stary nauczycielu, ale nie przyznam ci racji... Chociaż może wypracowanie o Judymie przed 15 laty było inne niż sądy twoich dzisiejszych uczniów, ale od tego czasu zmieniło się wiele dookoła nas oraz w nas samych. Zanim więc postawisz tym wypracowaniom osta-

teczny stopień, pozwól, że opowiem ci o kilku sprawach, z którymi zetknąłem się w ostatnich czasach w lubelskich wsiach i miasteczkach.

Zaczął się bardzo niewinnie. Pewnego dnia zjawił się we wsi zakupiony przez kółko traktor. Przejechał triumfalnie przez całą wieś, podnosząc tumany kurzu... W szkole nie zwrócono na ten fakt większej uwagi. Jednak po paru dniach ostatnie ławki najwyższej klasy świecić zaczęły pustkami. Zaczęły się masowe wagary. Przeprowadzone przez młodego, energicznego nauczyciela śledztwo ujawniło powody zjawiska.

— Oni chodzą na traktor — zdradziła jedna z dziewczynek.

Rzeczywiście. Na obszernym podwórzu resztkówki, gdzie zainstalował się pierwszy traktor kółka rolniczego, nauczyciel odnalazł całą wagarującą gromadkę. Zbieli w grupę chłopcy z zachwytem śledzili ewolucje traktorzysty wykręcającego traktorem zgrabne kółka i łożyska.

Interwencja nauczyciela pomogła na krótko. Zapędził co prawda młodych miłośników motoryzacji z powrotem do szkoły, ale po paru dniach chłopcy znowu zaczęli znikać. Nauczyciel poczuł, że przegrywa. Przyciębiony wrócił tego dnia do domu. Cały wieczór myślał o wagarowiczach, szukał na nich sposobu, wreszcie wpadł mu do ręki gruby tom Makarenki. — Może ty mi poradzisz, stary przyjacielu?

Pewnego dnia cała siódma klasa udala się na teren resztkówki. Nauczyciel oraz traktorzysta wspólnie objaśniali tajemnice budowy traktora, demonstrowali zaciekawionym dzieciakom pracę silnika, działanie poszczególnych maszyn i urządzeń. Pierwszą poglądową lekcję zakończyła honorowa runda wokół całej wsi, w obszernej traktorowej przyczepie.

A potem zaczęły się stałe zajęcia kółka młodych mechaników-traktorzystów. Wkrótce cała klasa znała doskonale zasady działania silnika spalinowego, typy traktorów i samochodów. Wszyscy uczniowie z „dźwiękami” włącznie postanowili, że zostaną traktorzystami. I nie były to mrzonki. Dzisiaj, wielu spośród wagarowiczów uczy się w technikum mechanizacji rolnictwa, pracuje w PGR-rze, a już dalsze pokolenia interesują się wielce mechaniką. Pasja traktorowa trwa nadal.

Historię tę opowiedział mi jeden z nauczycieli przybyłych na konferencję poświęconą sprawie reformy szkolnictwa. To właśnie on przekształcił wycieczne uczniowskie wagarowanie w piękną, pozytywną działalność oświatowo-społeczną. To on rozpoczął wielki proces odnowy w swej wsi. Ale nie wyglądał przy tym zupełnie na Judyma. Przeciwnie, przyjechał na konferencję nowiutką czerwoną SHL-ką.

Kiedy kilka lat temu stanęło się na annopolskim rynku, pełnym wybojów i błota, walących się ruder i stert śmieci, nieodmiennie nasuwało się porównanie do opisanego przez Krasickiego miasteczka, w którym: „Były trzy karczmy, bram cztery

(Dokończenie na str. 11)

Książka lubelska zdobywa uznanie

LESZEK GZELLA

Kamena R. 287961n 8s. 4, 71

DNI Oświaty, Książki i Prasy są najbardziej odpowiedzialną okazją do poczynienia niejako rachunku sumienia w stosunku do książki. Te dni pozwalają na głębsze zastanowienie się nad wszystkimi, wcale nie tak prostymi zagadnieniami związanymi z produktami drukarni. Najczęściej przy tej sposobności analizujemy osiągnięcia „niewypały” i plany wydawnicze rozmaitych wydawnictw, a spotykając się z autorami ciekawych książek wyprodukowanych przez „Czytelnika”, „Naszą Księgarnię”, „Wydawnictwo Literackie”, „Iskry” itp. — może nie dostrzegamy i zbyt mało mówimy o instytucji wydawniczej, która rośnie i rozwija się tuż pod naszym bokiem. Trochę z zażenowaniem mówimy o Wydawnictwie Lubelskim, wychodząc może z niesłusznego założenia, że jest ono zbyt młode, aby mogło się równać z tymi firmami o wyrobionej i ustalonej już opinii. Jest to fałszywe założenie. Nad książką produkowaną przez Wydawnictwo Lubelskie warto i trzeba zatrzymać się chwilę dłużej z różnych względów. Nie obawiamy się posądzeń o ambicję przerastające nasze możliwości: lubelska książka z każdą nową pozycją wychodzącą z drukarni jest wartościowsza. W jakimś ogólnym bilansie nie da się pominąć takich faktów, jak tylekroć już przytaczane przez prasę wyróżnienia, które przyznano autorom „Dziennika z lat okupacji” i „Ruchu oporu na Lubelszczyźnie”. Nie sposób też nie przypomnieć o albumie malarskim artysty z Kazimierza — Zenona Kononowicza, który zdobył bardzo dobre recenzje fachowców i był wystawiany dwukrotnie na kiermaszu książki w Warszawie oraz pokazany na ekspozycji książki polskiej w Moskwie.

Niektóre lubelskie książki wzbudziły żywe zainteresowanie w kręgach naukowych polskich i zagranicznych. Myślę nie tylko o wspomnianych już pozycjach. Pierwszy zeszyt „Logopedii” (wydany przez b. Lubelską Spółdzielnię Wydawniczą), omawiającej zagadnienia kultury żywego słowa dotarł do adresata, a więc do nauczyciela, oraz znalazł się w bibliotekach i... na biurkach wybitnych specjalistów-naukowców. Przeglądam właśnie listy kierowane do redaktora „Logopedii”, doc. dr. Leona Kaczmarska. Warto przytoczyć kilka głosów na ten temat:

„Zorganizowanie ośrodka dociekań pedagogiczno-logopedycznych w oparciu o ZNP i rozporządzającego własnym organem jest ceną zdobyczą. Życzę z całego serca sukcesów, a przede wszystkim rozpowszechnienia tej problematyki i zachęcania do doświadczałnej współpracy w całej Polsce”.

(Zenon Wieczorkiewicz)

„Po powrocie z Budziszyna, gdzie w drodze powrotnej z Polski zatrzymałem się trzy dni, zastałem w Paryżu i numer Logopedii, który aczkolwiek nie jestem specjalistą foniatry, jednak mi wydał się bardzo interesujący i zasługujący go w naszej Kronice bibliograficznej”.

(E. Decaux)

„Logopedię” pozytywnie ocenili wybitni naukowcy ośrodków naukowych w Lipsku (Georg F. Meier), Halle

(Hans Kreech), Hamburgu (Hans H. Wängler, Hanoweru (Gerhard Heese), Pragi (M. Sorak, M. Seeman), Lwowa (M. Chwatecw) i inni. Zainteresowanie pierwszym numerem „Logopedii” sprawiło, że już w drugim zeszycie prace swe zamierzają drukować specjaliści z zagranicznych ośrodków naukowych.

Po zlikwidowaniu Lubelskiej Spółdzielni Wydawniczej i powołaniu na jej miejsce Wydawnictwa Lubelskiego dla tej państwowej instytucji otworzyły się znacznie większe możliwości. Nie jest to już placówka borykająca się z trudnościami w rodzaju „byłe tylko do końca roku”, ale pracująca w oparciu o długofalowe plany wydawnicze. To jest bardzo istotna i ważna sprawa. Wydawnictwo, które ma zarysowane plany najwyższe na dwa, trzy lata, jest właściwie nie liczącym się partnerem. Jego rangę ustala długofalowa polityka wydawnicza, a wartość — realizacja tych planów. Zanim jednakże pokrótce zapoznamy się z planami perspektywicznymi Wydawnictwa Lubelskiego przyjrzyjmy się cyfrom ustalonym na rok bieżący. Otóż w 1961 r. W. L. wydrukuje 350 arkuszy wydawniczych o łącznym nakładzie 225 tys. egzemplarzy. Wartość wyprodukowanych książek w tym roku zamknie się sumą ok. 3.300 tys. zł. Ogółem na rynek książkarski W.L. wypuści blisko 40 tytułów. Jest to już powód do słusznej dumy.

Jakiej strawy duchowej dostarcza czytelnikowi W.L. w roku 1961? Zaczynamy może od pozycji, które ukazały się już w księgarniach. „Wojna, ludzie i medycyna” Adama Majewskiego jest pozycją wyczerpaną (15 tys. nakładu), a dyrektor W.L. prawie każdego dnia otrzymuje listy i zamówienia dotyczące tych wspomnień. Dokończono cykl zbiorów poezji lubelskich poetów („Tarnina” Marii Szczepowskiej jako ostatnia została już wydrukowana), wydano zbiór opowiadań „Ostrokół” Stefana Wolskiego, III tom „Rocznika Lubelskiego” oraz J. Naumiuka „Z dziejów KPP na Lubelszczyźnie”.

Po „Nocy” Wiesława Rogowskiego, powieści nagrodzonej w konkursie ogłoszonym przez Lubelską S.W. i Oddział Lubelski ZLP ukazała się dalsza pozycja z tego cyklu a mianowicie: Moniki Warnieńskiej „Wiatr za progiem” (powieść o Żeromskim), Wacława Wikłisza „Żelazny wilk” — powieść dla młodzieży, Franciszka Sikorskiego „Ślady czerwonych płam” i Edwarda Góry „Dęby”. Po raz pierwszy ukazały się w osobnych książeczkach z bardzo ładnymi rysunkami wiersze dla dzieci Józefa Czechowicza. Tomiki zostaną zatytułowane: „Jak groch wędrował” i „Bawię braciśka”. W. L. słusznie spodziewając się zainteresowania nie tylko regionalnego zamierza wydać je w stosunkowo dużym nakładzie — 30 tysięcy egzemplarzy. „Wiersze zebrane” J. Czechowicza — to pierwszy tom pełnego wydania jego utworów. Z okazji 40-lecia pracy literackiej K. A. Jaworskiego ukazał się tom jego wierszy zatytułowany „Stopy czasu”.

Z niecierpliwością oczekujemy „Listów do siostry” Jana Hempla, które na pewno będą stanowiły pozycję bardzo poczytną z uwagi na to, że przecież będzie to pierwsze wydanie zebranych wypowiedzi tego interesującego i wnikliwego humanisty na tematy literatury i kultury lat przedwojennych. „Rzeczpospolita Józefowska” — to tytuł pamiętników Zbigniewa Jakubika, które powinny ukazać się bezpośrednio po wakacjach. Z literatury typu pamiętnikarskiego W. L. dostarczy czytelnikowi bardzo ciekawe wspomnienia Wacława Mrozowskiego pt. „Cyganeria lubelska”, dotyczące lubelskiego środowiska literackiego z okresu dwudziestolecia międzywojennego, a także „Pamiętnik międzywojenny” Konrada Biełskiego, którego fragmenty drukuje „Kamena”. Z cyklu publikacji o Majdanku (szczegółowsze dane w dalszej części artykułu) W. L. wyda pamiętnik

Widzi mi się

EXCELSIOR!

Bylem chłopcem, kiedy Bleriot dokonał na swym jednopłatowcu przelotu przez La Manche. Ile się o tym wtedy pisało! Jak wynosiło się pod niebiosa jego bohaterstwo! A przecież chodziło tylko o mizerną odległość z Calais do Doveru i okręty towarzyszące na wodzie lecącemu Bleriotowi zabezpieczały go w znacznym stopniu przed niebezpieczeństwem na wypadek awarii w powietrzu.

Uplłynęło osiemnaście lat. Kursowały już samoloty pasażerskie obsługujące linie lotnicze nad kontynentem, ale próbę przelotu nad oceanem uważano za objaw szaleństwa. A jednak Lindbergh samotnie na jednosilnikowym aeroplanie pokonał zwycięsko przestrzeń dzielącą Paryż od San Francisco.

Żywił powietrzny został ostatecznie ujarzmiony i dziś tysiące ludzi w odzrutowcach pasażerskich przelatuje szybko i wygodnie Atlantyk i inne oceany. Przywykliśmy już do tego i nawet przestaliśmy się dziwić.

Kiedy przyszedł na świat mój ojciec, nie znano jeszcze oświetlenia elektrycznego; gdy ja się urodziłem, kino nie było jeszcze powszechną rozrywką; syn mój swym pierwszym krzykiem powitał Polskę, gdzie aparat radiowy należał do rzadkości, na którą mogli się zdobyć tylko zamożni ludzie, a telewizja w ogóle była w powijakach. A dzisiaj? Nikt z nas nie myślał o nadejściu „wieku atomu”.

Uczyłem się geografii z map, na których tu i ówdzie widniały jeszcze białe plamy znaczące nie zdobyte przez człowieka przestrzenie. Wkrótce potem z wypiekami na twarzy czytałem o osiągnięciu przez Peary'ego bieguna północnego, a w dwa lata później — południowego przez Amundsen.

Himalaje, Czomolungma. Przy mojej pasji alpinistycznej śledziłem krok za krokiem przebieg kolejnych wypraw na zdobycie najwyższej góry świata i w wierszach składałem hołd bohaterkiej śmierci Irvine'a i Mallory'ego. Długo opierała się Czomolungma, aż i ona padła.

Człowiek zdobył ziemię i jej otoczkę — powietrze. Człowiek zapragnął sięgnąć wyżej.

I znów cofnę się do dalekich lat mojej przyjaźni z genialnym Verne'em, którego wszystkie niemal fantazje stały się rzeczywistością, z Wellsem, z Żuławskim. Do matczynej lornetki, przez którą usiłowałem wypatrzyć krateru na księżycu. Do chłopięcych marzeń o podróżach międzyplanetarnych. Bohaterowie Vernowskiej powieści „Z ziemi na księżyc” nie osiągnęli naszego satelity, ale okrążywszy go wrócili na naszą planetę. A do podróży swej użyli specjalnie zbudowanego pocisku, wystrzelonego z olbrzymiej armaty. „Pierwszi ludzie na Księżycu” Wellsa dotarli tam dzięki wynalazczeniu specjalnej substancji „kaworytu”, izolującej ich pojazd od siły ciężenia Ziemi. Autor francuskiej powieści „Wieża na Marsie” (nazwiska nie pamiętam) użył do wystania w przestrzeń kosmiczną swych bohaterów zbiorowej siły magnetycznej setek fakirów. Z tego wszystkiego najrealniejszy był pomysł Verne'a, który nie widział jednak możliwości zastosowania rakiet jako napędu do odbycia takiej podróży.

Russel powiedział, że „więcej prawdziwej zawiera fikcja, fantazja naukowa, niż praca poważna, która rzekomo podaje fakty”. Można się zgodzić z filozofem angielskim, lub nie, faktem jest jednak, że wczorajsza fikcja w naszych oczach przyoblała się w kształty realne: lunnik dotarł do srebrnego globu, drugi zrobił zdjęcie niewidocznej części księżyca; gdzieś tam, jeśli jej nie rozpryskały meteority, leci rakietą skierowana ku planecie Venus. Gagarin dokonał epokowego lotu kosmicznego dookoła ziemi.

I gdy myślę o tym, gdy sumuję fakty, podziw mnie ogarnia do geniuszu ludzkiego, który w swym rozwoju zda się nie mieć granic. Podziw dla wiedzy uczonych radzieckich, którzy potrafili skonstruować tak precyzyjną maszynę, i cześć dla bohatera człowieka, który nie zważał się wsiąść do rakiety, która mimo wszystko mogła przecież stać się latającą trumną. Co przeżył w ciągu tych historycznych stu ośmiu minut, kiedy przebywał w absolutnej samotności na zawrotnej wysokości trzystu kilometrów, w ciągu tych minut, które mogły być ostatnimi w jego życiu, — o tym wie on jeden. I jaki ogrom poświęcenia i heroizmu krył się za prostymi słowami jego żołnierskiego meldunku: spełniłem zadanie.

X. Rovay

Tadeusza Garczyńskiego pt. „Więzień nr 3873”.

Wydawnictwo zamierza wydać interesującą popularno-naukową książkę Jerzego Kowalkowskiego pt. „Z sieci na Krzyż Południa”. Autor opisuje w stylu zbliżonym do powieści Fiedlerowskich przygodę polskiej wyprawy zoologicznej na Morze Czerwone odbytej jachtem „Dar Opola”. Książka ta byłaby zaopatrzona w 40 fotografii czarno-białych i kilka barwnych. Na marginesie warto może dodać, że kierownikiem tej wyprawy był znany uczyony prof. Zbigniew Raabe, syn pierwszego rektora UMCS.

Z dużym zainteresowaniem oczekuje się też opracowanej przez Aleksandra Bryka monografii o orkiestrze K. Namysłowskiego.

W przygotowaniu znajdują się „Bataliony Chłopskie” opracowane przez Z. Mańkowskiego, J. Naumiuka i J. Markiewicza. Ukazą się też dwa zeszyty „Logopedii”. W. L. wyda kolejny „Kalendarz Lubelski na rok 1962”.

W cyklu Biblioteczki Społeczno-politycznej otrzymamy 5 nowych tytułów, a mianowicie „Reforma rolna na Lubelszczyźnie” (J. Danielewicz), „Powstanie KPP na Lubelszczyźnie” (St. Krzykała), „Walki chłopów w pld. Lubelszczyźnie” (E. Cifruś), „Walka chłopów lubelskich na przełomie XIX i XX w.” (Z. Mazurek) i „W walce z reakcyjnym podziemiem” (J. Naumiuk).

Wydawnictwo Lubelskie dużo uwagi poświęca pracom badawczym nad regionem lubelskim, właściwie jest to dziedzina prac, które w planach wydawniczych W. L. znalazły wreszcie pełne prawo obywatelstwa. Do niedawna przecież jeszcze niewielu lubelskich młodych naukowców mogło marzyć o wydaniu swojej pracy doktorskiej w osobnej publikacji. Dziś — zespół młodych ludzi opracował materiały do publikacji „Ziemia Chełmska”, dziś — czeka na swoją kolejkę w drukarni: „Monografia Łukowa” (Orłowski i Szaflik), wreszcie „dziś” ukazała się następująca pozycja związana z regionem: „Położenie i walka klasowa chłopów w powiecie parczewskim” (R. Szaflik), „Parczew w XV—XVIII w.” (Z. Zakrzewska-Dubasowa), „Powiat radzyński 1863—1914” (St. Jarmuł) oraz „Lu-

bartów i Ziemia Lubartowska” (zespół). Tyle rok 1961.

Powiedzieliśmy już, że Wydawnictwo Lubelskie opracowało plany dalekosiężne. Chodzi tu raczej o główne kierunki polityki wydawniczej. Otóż ambicją W. L. jest przeobrażenie się w instytut badań regionalnych. Wydawnictwo będzie wtedy reprezentować interesy Lubelszczyzny, będzie inspirowało przygotowywanie prac na taki czy inny temat, a nie tylko przyjmowało zlecenia do realizacji. Są projekty, aby W.L. objęło swym zasięgiem również województwa: rzeszowski, białostockie i kieleckie.

W swym perspektywicznym planie W. L. widzi możliwość podjęcia kilku większych akcji wydawniczych. I tak wspólnie z Polskim Towarzystwem Historycznym zamierza (w ramach Milenium) inicjować opracowanie monografii miast i niektórych zagadnień dotyczących Lubelszczyzny w ujęciu monograficznym. Cel tej inicjatywy jest wyraźny. Chodzi o ograniczenie pracy typu przyczynkarskiego na rzecz opracowań syntetycznych, możliwie też popularno-naukowych. W związku z tym w przyszłości W. L. będzie mogło podpisywać umowy długoterminowe.

Drugą poważną akcją wydawniczą będą publikacje związane tematycznie z Majdankiem. Powołana już została specjalna Rada Naukowa Wydawnictwa o Majdanku, na której czele stoją: doc. dr. Tadeusz Menceł UMCS (przewodniczący), doc. dr. Czesław Madejczyk (PAN) i dr. Roman Rosiak, dyrektor W.L. Plany badań naukowych o Majdanku zmierzają w trzech kierunkach: 1. opracowania monograficzne Majdanka, 2. geografia zbrodni hitlerowskich na Lubelszczyźnie, 3. dzieła literackie (pamiętniki, wspomnienia, ewentualnie powieści). Zagadnienie wydawnictw poświęconych Majdankowi zostało już dosyć szczegółowo opracowane. Planuje się zorganizować konkurs literacki na powieść o Majdanku, zostaną wydane: przewodnik po muzeum, imponującym wydarzeniem będzie album „Majdanek oskarża” (z tekstami w kilku językach) oraz album poświęcony dorobkowi w zakresie twórczości plastycznej i literackiej wężności Majdanka. Poparcie

(Dokończenie na str. 11)



Afryka

Owego czasu nieokreślonego,
Gdy w twórczej pasji Twórcza tego
[świata
Znów kruszył wszystko, co sam
[przedtem stworzył,

Owego dnia, gdy od porwy Jego
Zakolysała się wstrząśnięta ziemia, —
Nagle cię ręce Czerwonego Morza,
O Afryko, od ładu oderwały,
Od kontynentu wschodniego odciawszy,
I umieściły pośród gór leślistych
Tam, gdzie zaledwie majaczące światło,
Rzucając ciebie na igraszkę losów.

Tam gromadziłaś wielkie tajemnice,
Niebu podobne odkrywałaś wody
I nie zbadanej natury uroki
Budziły w tobie miłość nieznanego.
Tyś przerażona zwyciężyła śmiechem,
Przyoblekałaś potworne odzienie
I zasłuchana w głosy świętych bębnow
Cześć oddawałaś tajemniczemu duchom.

O ty, pogrążona w ciemności,
O ty, której obraz człowieczy
Pod czarną tkaniną ukryty
Przed ludźmi niegodnych spojrzaniem!

Zjawili się tu z kajdanami
Takimi jak szpony hłeny;
To stado, to tłum gwałcielieli,
I w duszach ich mrok był półmocy,
A chciwość tych ludzi pierwotna,
Bezwstydną, nieludzką.

To byli
Handlarze niewolnikami,
I oto od placu ciebiego
Na ścieżkach skąpanych posoką
Kurz stawał się błotem krwi lepkiej.
I odtąd te grudki skrwawione
Zbrukały podania tych ludów.
A wszędzie w tym czasie daleko,
Za morzem po stronie przeciwnej
Głos dzwonów nabożnie rozbrzmiewał
I rano, i wieczór w krag glosił,
Ze Stwórca, że Bóg miłosierny.
Bawiły się dzieci muzyżki
I w pieśniach poetów dźwięczały
Pochwały, uznanie dla piękna.
W tej chwili, gdy taki jest rzeźki
Zachodni wiatr przed zachodem,
Kiedy z tajemnych legowisk
Wychodzą na łów drapieżniki,
Zjaw się w słabnącej światłości,
Poeto przyszłej epoki.
I temu, co stracił sumienie,
Rzucź zdanie jedyne. Rzucź zdanie:
„Opamiętajcie się, ludzie!”
Niech będą ostatnie to słowa
Wyraźne — o wzniosłej myśli.

Na podstawie przekładu
A. Achmatowej
spolszczył K. A. Jaworski



Dr Aleksander Jaworowski
(Ze zbiorów Biblioteki Akademii Medycznej
w Lublinie)

Biblioteka Towarzystwa miała w
swych zbiorach poważną ilość czasopism.
Najliczniej reprezentowane były
czasopisma polskie (48 tytułów), i niemieckie (45 tytułów).

Polityką gromadzenia zbiorów bibliotecznych kierowała komisja biblioteczna Towarzystwa. Ona decydowała ostatecznie o zakupie książek i prenumeracie czasopism, ona ustalała, które dzieła przeznaczone były tylko do wyłącznego czytania na miejscu, zarządzała dni i godziny otwierania biblioteki, decydowała, jakie mają być prowadzone w bibliotece księgi biblioteczne, oraz przeprowadzała kontrolę księgozbioru i przekładała na walnym rocznym zebraniu protokół przeprowadzonej rewizji biblioteki.

Na podstawie dobrze zachowanych zbiorów bibliotecznych, które zostały przekazane Bibliotece Naukowej Akademii Medycznej w Lublinie, oraz na podstawie protokołów posiedzeń Towarzystwa nie trudno jest stwierdzić, że w Bibliotece Towarzystwa Lekarskiego od początku jej założenia panował ład, porządek i mroźca praca bibliotekarzy.

W roku 1885 wydany został drukiem pierwszy katalog biblioteki bardzo starannie opracowany przez bibliotekarza dr Aleksandra Jaworowskiego. Katalog ten obejmuje 1973 pozycje i ułożony jest według dziesięciu głównych działów. Jest to katalog systematyczny, w Regulaminie Towarzystwa nazywany „umiejnościowym”. W roku 1891 zostało wydane drukiem Dopełnienie I do katalogu Biblioteki Towarzystwa Lekarskiego Lubelskiego, ułożone przez bibliotekarza dr Kazimierza Jaczewskiego. Dopełnienie obejmuje 212 pozycje od nr 1974 do 2185. Układ Dopełnienia taki sam jak w katalogu Jaworowskiego. W roku 1896 wyszło drukiem Dopełnienie II opracowane przez bibliotekarza dr Jakuba Cynberga. Dopełnienie obejmuje następną kolejkę pozycje od n-r 2186 do n-r 3179 (944 poz.). Układ jak w dwu poprzednich katalogach. W katalogach przeważają dzieła w obcych językach (60—65%), szczególnie dużo jest dzieł w języku niemieckim.



Dr Kazimierz Jaczewski
(Ze zbiorów Biblioteki Akademii Medycznej
w Lublinie)

Udostępnienie zbiorów bibliotecznych normuje Regulamin Towarzystwa. Regulamin ustala oddzielnie zasady wypożyczania książek, a oddzielnie zasady korzystania z czasopism w czytelni. Książki wypożyczane były na okres 3 miesięcy, termin zwrotu mógł być przedłużony na dalsze 3 miesiące, o ile w tym czasie nie było zapotrzebowania na to samo dzieło ze strony innych czytelników. Jednorazowo czytelnik mógł wypożyczyć najwyżej 10 tomów. Czasopisma udostępniano w czytelni. Tygodniki i dwutygodniki wykładane były w czytelni przez okres 4 tygodni, miesięczniki przez 3 miesiące. Po tym okresie pojedyncze numery czasopism były włączane do zbiorów i mogły być wypożyczone.

Biblioteka Lubelskiego Towarzystwa Lekarskiego przestała istnieć w roku 1950, tj. po powzięciu uchwały o przekazaniu księgozbioru Akademii Lekarskiej (potem Medycznej).

Akademia Medyczna została powołana do życia z dniem 1 stycznia 1950 r. i w skład jej weszły wydziały Lekarski i Farmaceutyczny Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej. Równocześnie powstała Biblioteka Naukowa Akademii Medycznej, która przejęła zbiory Wydziału Lekarskiego drukiem.

(Dokończenie na str. 8)

Z DZIEJÓW JEDNEJ BIBLIOTEKI*

STANISŁAW KOWALCZYK

W trudnym okresie dla kraju, w okresie wzmożonej rusyfikacji, trzech lekarze zamieszkali w Lublinie: Aleksander Janiszewski, Michał Jankowski i Józef Talko podjęli inicjatywę założenia w Lublinie Towarzystwa Lekarskiego. Lekarze Lublina poparli myśl inicjatorów i złożyli podpisy na liście założycieli. Dnia 4 lipca 1874 r. odbyło się uroczyste posiedzenie poświęcone otwarciu Towarzystwa, na którym dokonano wyboru Zarządu. Prezesem został dr Juliusz Kwaśniewski. Lubelskie Towarzystwo Lekarskie na przestrzeni swej długoletniej działalności miało poważne osiągnięcia na polu naukowym, społecznym i kulturalnym. Warsztatem pracy naukowej członków była biblioteka. Jej założenie datuje się niemal od chwili powstania Towarzystwa.

Już na trzecim kolejnym posiedzeniu, dnia 4 września 1874 r., sekretarz Towarzystwa dr Józef Talko podał do wiadomości zebranych, iż dla założenia biblioteki Towarzystwa wiele osób ofiarowało książki lekarskie. Zbiory szybko powiększały licznie napływające dary od członków Towarzystwa, dzieła z zakupu oraz roczniki prenumerowanych przez Towarzystwo czasopism lekarskich. W pierwszym roku biblioteka zapnumerowała 7 czasopism: „Gazette des Hôpitaux”, „Berliner Klinische Wochenschrift”, „Wiener Medizinische Wochenschrift”, „Przegląd Lekarski”, „Pamiętnik Tow. Lek. Warsz.”, „Sowiemiennaja Medicyna”, „St. Petersburg farmazeutische Zeitschrift”.

Na trzecim dorocznym posiedzeniu w dniu 4 lipca 1877 r. prezes Towarzystwa, dr Juliusz Kwaśniewski, tak charakteryzował zbiory biblioteczne: „Z wykazu bibliotecznego, który pracownicy i skrzętnie ułożył Kol. Jaworowski bibliotekarz Towarzystwa, przekonanie się panowie, że w razie jakiegokolwiek pracy naukowej, dzieł odpowiednich nie zabraknie”. Następnie wymienia dzieła z poszczególnych dyscyplin naukowych jak np.: z anatomii dzieł 40, tomów 61, balneologii dzieł 158, tomów 167, z chirurgii dzieł 303, tomów 316, z patologii i terapii dzieł 298, tomów 429, z farmakologii i farmacji dzieł 94, tomów 114, czasopism tytułów 53, tomów 881, encyklopedii i słowników 16, tomów 199. Wreszcie podaje ogólną liczbę zbiorów: Jest to bardzo duży wzrost zbiorów w tak krótkim okresie czasu. Ważniejsze dary wpływające do biblioteki w ciągu lat stanowią księgozbiory prywatne, które ofiarowali członkowie Towarzystwa lub rodziny po ich śmierci. Prof. dr Ignacy Baranowski (Warszawa), honorowy członek Lubel-

skiego Towarzystwa Lekarskiego, lublinianin z pochodzenia zmarły w 1919 roku, ofiarował Towarzystwu swoją bibliotekę i na sprowadzenie jej do Lublina legował rejentalnie 1000 rubli. Zbiory te wynosiły około 2000 tomów. Kazimierz Chełchowski z Lublina ofiarował 70 dzieł przeważnie treści akuszerzynej i ginekologicznej; Feliks Głogowski z Lublina ofiarował 293 dzieła w 595 tomach; zbory Aleksandra Janiszewskiego, członka honorowego Towarzystwa przeszły do biblioteki Towarzystwa po jego śmierci; Felician Suligowski zapisał swoje zbiory — 111 dzieł w 163 tomach; po śmierci Karola Zagórskiego wdowa ofiarowała dzieła treści lekarskiej; Julian Zdanowicz z Opola Lubelskiego zapisał swój księgozbiór Towarzystwu; po śmierci Tomasza Żylińskiego przekazano dzieł 210 w 302 tomach. Dalej należy dodać, że niektórzy członkowie regularnie przekazywali do czytelni Towarzystwa prenumerowane przez siebie czasopisma lekarskie np.: dr Marek Arnsztajn — „Münchener Medizinische Wochenschrift”, dr Kazimierz Jaczewski — „Archiwum Polskie Nauk Biologicznych i Lekarskich”, „Czasopismo Lekarskie”, „Krytykę Lekarską”, dr Aleksander Jaworowski przekazywał „Przegląd Lekarski”.

Od poszczególnych redakcji biblioteka otrzymywała bezpłatnie czasopisma: „Kronikę Lekarską”, „Nowiny Lekarskie”, „Gazetę Lekarską”, „Medycynę”, „Ginekologię”, „Przegląd Dentystryczny”, „Casopis Lekárův Českých”. W roku 1901/2 redakcja „Kroniki Lekarskiej” ofiarowała do biblioteki Towarzystwa roczniki rozmaitych czasopism lekarskich: polskich 10, francuskich 13, niemieckich 16, angielskich 4, rosyjskich 11. Dary stanowiły poważną pozycję przybytków.

Towarzystwo stale uzupełniało zbiory biblioteczne przeznaczając corocznie na ten cel pewne fundusze w swym budżecie. Politykę zakupów charakteryzuje następujące sprawozdanie komisji bibliotecznej: „Przy wyborze dzieł do zakupu kierowaliśmy się przekonaniem, że przede wszystkim Biblioteka Tow. Lek. Lub. posiadać powinna wszystkie dzieła lekarskie oryginalne polskie, ukazujące się w danej chwili, a z dzieł cudzoziemskich — traktujące o przedmiotach, mogących obchodzić ogół lekarzy, a ze względu na wysoką cenę dla każdego pojedynczego członka Towarzystwa niedostępne. Zresztą, pod tym względem wszyscy koledzy mają możność wyrazić swoje życzenie w zaprowadzonej przez komisję księżce żądań”.

Następne źródło nabytków — to wymiana. Na tej drodze Towarzystwo otrzymało „Gazetę Lekarską”, „Casopis Lekárův Českých” oraz sprawozdania z prac i czynności towarzystw lekarskich. Na drodze wymiany międzybibliotecznej biblioteka Towarzy-

stwa otrzymała z Biblioteki im. H. Łopacińskiego w Lublinie dzieła lekarskie z daru dra Siedlewskiego, w zamian sama ofiarowała dzieła ogólnonaukowe w ilości 240 tomów. Dar dra Siedlewskiego wynosił 410 tomów, lecz było tam sporo dzieł treści historycznej i oczywiście, że nie cały ten księgozbiór przeszedł do biblioteki Towarzystwa Lekarskiego.

Wzrost zbiorów bibliotecznych Towarzystwa daje się częściowo zilustrować danymi statystycznymi bądź z opublikowanych roczników bądź z rękopiśmiennych protokołów.

Z braku miejsca podajemy w skrócie, że księgozbiór wynoszący w r. 1875 tomów 591 — w r. 1939 liczy 14000 tomów.

Biblioteka Lubelskiego Towarzystwa Lekarskiego, jako biblioteka specjalistyczna gromadziła zbiory z zakresu medycyny oraz nauk pokrewnych. Wśród zbiorów znajduje się wiele cennych dla badacza historii medycyny pozycji z XVIII i XIX w.

Z druków polskich mamy: „Zbiór aforyzmów lekarskich Hipokratesa”, Warszawa 1743; Tissot — „Hygiena”, drukowana w Warszawie u XX Pijarów w roku 1773. Z druków polskich jest znaczna ilość dzieł wydanych w Wilnie. Druki wileńskie obejmują wydawnictwa Imperatorskiego Uniwersytetu w Wilnie po 1803 r. oraz inne wydawnictwa, wśród których znajdują się liczne dysertacje doktorskie z lat 1818 i następnych, Ustawy Towarzystwa Medycznego Wileńskiego z 1806 r., oraz Pamiętniki Towarzystwa Lekarskiego Wileńskiego z 1818—1821. Mówiąc o drukach polskich należy wymienić niektórych autorów, sławnych uczonych, bądź zasłużonych społeczników lekarzy, których prace zasilały księgozbiór Towarzystwa Lekarskiego. Są między nimi: dzieła Dietla (wyd. Kraków 1852), Ludwika Neugebauera (chirurgia 1861), Józefa Mianowskiego (Wilno — prace o złamaniu kości).

Oddzielnie należy podkreślić taką pozycję, jak pierwsza polska bibliografia lekarska pt. „Zbiór wiadomości do historii sztuki lekarskiej w Polsce”, opracowana przez Ludwika Gąstrowskiego, wydana w 4 tomach w Poznaniu w latach 1839—1855.

Z dzieł wydanych za granicą są dzieła drukowane w Lugdunie 1752 r., w Lozannie z 1763 r. (dzieło fizjologiczne), w Paryżu 1777 r., w Lipsku 1790 r. i w Wiedniu 1793 r.

Cennymi pozycjami biblioteki były zbiory dziewiętnastowieczne. Poważną grupę medycznej literatury stanowią dzieła wydawane w Lipsku, w Wiedniu, w Erfurcie, w Berlinie oraz we Wrocławiu. Są tu dzieła medyczne pisane przez słynnych uczonych: R. Virchowa, F. Niemeyera (patologia), Wilhelma Wundta, Feliksa Hoppe-Seylera, Friedricha Hildebrandta (anatomia), H. Helmholtza (okulistyka), Christopha Wilhelma Huffelanda (płodnicztwo i ginekologia), Hugona Zimsena, następnie leksykony, encyklopedie lekarskie w języku niemieckim, francuskim (Copland wyd. w 1834 r.), Dictionnaire de Médecine et Chirurgie (1821—1828), dysertacje doktorskie z Dorpatu, a wśród nich prace Polaków, m. in. prof. Ignacego Baranowskiego: „Nonnulla de lentis, humore aqueo imbibito, post cataractarum intumescencia”. Dorpat 1858.

*Fragmenty pracy opartej na danych protokołów i sprawozdań Tow. Lekarskiego gub. lubelskiej i in. dokumentów.

1 Niech żyje ziemia lubelska! Gdybyż ci sami lublinianie wiedzieli, co my za wdzięczność czujemy dla nich za ich serdeczne polskie powitanie i przyjęcie!

Nasz szwadron pierwszy ze wszystkich wojsk zajął Lublin. Komenda austriacka surowo zakazała brygadzie dyrygować się na Lublin, a jak na złość wyznaczyła nam odcinek, który miał to drogie miasto o niecałe dziesięć wiorst na zachód. Ale wczoraj Grzmot samowolnie porwał nasz szwadron i ryknął się na leb na szyję ku Lublinowi. Nikomu się nie opowiadał i dobrze zrobił. Przed południem dopadliśmy rogatki i po nieznacznej strzelaninie urotowaliśmy sobie drogę. Rozszepaliśmy się po mieście — nie ma Moskali, nie ma Austriaków, sami jesteśmy! Aż tu od razu, jakby zawczasu przygotowane, wyległy ogromne tłumy. Przed magistratem i przed cudną, starą Bramą Krakowską obiegli nas rozentuzjuszowani patrioci. Mowy, okrzyki, uściski, kwiaty, papierosy, wino, kielbasa, mnóstwo ciastek, owoce — nie było nawet gdzie tego wszystkiego podziąć. Mnóstwo cudnych panien, białe ubrane jak na święto, starzy i młodzi, wszyscy w radości i uniesieniu! My zaś zgłupieliliśmy zupełnie, bo w tej Polsce przywykliśmy do obojętności i do zniewag, ale do żadnej serdeczności! Toteż dygotali z przejęcia nawet najgłupszy ze szwadronu. Wiwat Lublin!

2 W Lublinie Janowi Kazimierzowi coraz jakoś robiło się duszniej, zdawało mu się, że gdy wyruszy sam z głównymi siłami, które się już tu zgromadziły, opóźnione też oddziały pośpieszą ku niemu. Nalegając co dzień na wyruszenie z Lublina, w końcu król z dowódcami dzień nazaczył, a że od koczactwa coraz świeższe nalatywały wiadomości, iż się zbliżało, zdawało się, iż Maria Ludwika wyrzeczce się dalszej podróży — królowa dotąd milcząca oświadczyła w ostatniej chwili, że dopóki tylko będzie można, towarzyszyć chce mężowi i trudy jego podzielać. Jan Kazimierz, jakkolwiek mu to może niezbyt dogadzało, musiał dziękować.

Radziejowski, który i tu i tam podsłuchiwał i podszeptował, uśmiechał się. Oświadczył zarazem żonie, iż bezpiecznie mogła też z nim pozostać. To „z nim” dwuznacznie wyrażało zarazem i króla. Podkanclerzyna pozorem zgody ukolysana nie sprzeciwiała się.

Uroczyste było, ale niepokoju pełne ruszenie z Lublina, pożegnania, błogosławieństwa. Gdy wiele osób stąd powracało lub też się zatrzymywało, inne przykładem królowej zachęczone w ostatniej godzinie przeprowadzać się decydowały.

Radziejowską małżonkę zabierał tym pewniej z sobą, iż prawdopodobnie ku

Sokolowi i Bugowi ciągnąć miano, a w pobliżu nad Bugiem był jego Kryłów, miesiąc na pierwszej żonie odziedziczona. Mogła więc, jak zapowiadał podkanclerz, jejmość spocząć w starym dworze w Kryłowie, jeśli by w Sokalu i przy obozie niedogodnie jej było.

Wojsko z królem, który inaczej jak konno na czele swych chorągwi jechać nie chciał, ciągnęło dosyć powoli na Uchanie ku Krasnemustawowi.

3 Można wylczyć po kolei wszystkie uroki Kazimierza — Wisłę „malowniczą, ale złą”, wzgórze, skąd rozciągają się królewskie widoki, jary o fantastycznej roślinności, stworzone na to, by się tam spełniały baśnie, pejzaż, dla którego jedni szukają analogii w miasteczkach południowej Francji, inni w cudownych miasteczkach włoskich, a jeszcze inni widzą w nim najczystsza emanację polskiej ziemi. Można spoznać szczegółowy spis uroków Kazimierza, ale najdokładniejszy nie wytłumaczy, dlaczego miasteczko zdobywa sobie serca ludzi i dlaczego — co trudniej — potrafi je utrzymać, gdyż jutro powrócą tu nawet ci, co dzisiaj się klną, że więcej nie wrócą.

Myślę, że urok Kazimierza tkwi w czymś bardzo prostym i bardzo niezwykłym zarazem: nie ma w kraju bodaj drugiej takiej miejscowości, która tak łatwo przywraca ludziom dar poezji, zachwaszczony pośród codziennych trudów i codziennej beznamiętności. W godzinę po przybyciu człowiek otrzymuje nowe, przemyte oczy, nowe, odoskowane uszy, młode serce. Człowiek zmienia się w poeetę, którym jest, w malarza, którym także jest. Kazimierz przywraca ludziom dar poezji, którą dyszy każda pięćdziesiąta część ziemi. Nagrzane ogrody odurzają zapachami intensywniejszymi niż gdziekolwiek, również kolory są tutaj wyrazistsze niż gdziekolwiek. Pieniąc się, oszalała w swej bujności zieleni, biel kamienia, buraść chmur, srebro księżycy, poranki i zmierzchy tutejsze — nie są podobne do innych. Także niebo jest tu wyższe niż gdziekolwiek, horyzont rozleglejszy. Pod tutejszym niebem zmysły i dusza żyją mocniej niż gdziekolwiek.

4 Wstawał spóźniony listopadowy świt, gwiazdy gaśły, w Dąbrowie piał koguty i tu, to tam przeblyskiwały małe, zamglone światła. Od rzeki pociągał zimny, ostry wiatr. Staśka mocniej okrzęciła się chustą i powoli weszła na błotniste, rozjeżdżony gościńiec.

Wymijając doły i szeroko rozlane bojarzyska, znalazła się na pustych, poczerwiałych polach, przywalonych pierzyną włochatej mgły. W szarości

świeżego świtu sterczały tu i ówdzie nagie, bezlistne drzewa, spod nog raz po raz podrywały się wrony i ciemną chmurą spadały na zieleniejące oziminy. W parowie szumiała deszczowa woda, spływając z wyżej położonych łąk i kaluż. Było tu tak smutno i ponuro, że dziewczynę owiał strach. Ciągle myślała o liście ukrytym za podszewką kaftana, to znów o ostatnich słowach Smółki i nagle ogarnął ją niepokój.

— Chyba zawrócę z drogi? — szepnęła. Ale przecież Gwardia liczy na mnie, ufa mi jak swoim żołnierzom... Trzeba zwyciężyć lęk, zaciąć zęby i iść naprzód... Jak rozkaz, to rozkaz!...

I szła. A droga była ciężka, pełna głębokich bruzd i kolein. Toteż dziewczyna zgrzała się jak przy żniwach. Z czoła i skroni spływał pot, nogi ustawały. Ale na świecie zrobiło się trochę jaśniej, zza chmur wyjrzało słońce, a jednocześnie w dali, w kłębach białej mgły zamajaczyły widać stare, kazimierskiej fary.

5 Miasteczko zdawało się martwe. Na rynku pionęły w pustce dwie wysokie latarnie. Kot hycnął zza rogu, w dali bez przekonania ujadł psy. Oni wybiegli na środek placu. Obnażone deski straganów lśniły, płachty służące w dzień do osłony towarów zwisały z boku. (...) Potem minęła farę i podążyli w górę do baszty, do ruin zamczyska. Berberysy chwytaly za suknie, pachniało teraz macierzanką. Im wyżej wchodził, tym rzeka odsłaniała się dalej. Niebawem mogli już ją widzieć aż po trzeci, szeroki, srebrny zakręt. Stanięli na szczycie wzgórza. Szczerbaty zamek jaśniał opodal, jak by cały był z próchna. W dole czerniało miasteczko.

Oni usiedli pod jednym z trzech ogromnych krzyży. Mena oparła rudowłosą głowę o drewno, niczym Magdalena. Z ruin wyszedł ktoś, dwoje ludzi zbliżyło się do nich. Jeremi ruszył naprzeciw, po chwil wykrzyknął:

— To nasi! Halo! Chodźcie! Czekaemy na was tutaj.

Krystyna przywitała się, Jerzy powiedział:

— Już od dwóch godzin patrzymy na to wszystko.

Krąg się powiększył. Milczano. Po rzecę chodził srebrny dreszcz, po niebie — obłoki. Każda rzecz odmieiała się ciągle. Dach fary raz wyglądał jak ze szkła, raz jak z aksamitu. Miasteczko drzemało wśród swojej zacisznej kotliny, to znów

KTO TO NAPISAŁ?

W KTÓRYM UTWORZE?

DRUGI KONKURS LITERACKI „KAMENY”

pod hasłem

„WIEDZA POMAGA W ŻYCIU”

szczyrzyło renesansowe attyki w przytomnym i nieprzyjaznym uśmiechu.

6 Na Popielec będzie koniec świata. Wywróżono w Lublinie, w prorocetwach świętej Brygidy. Od przyszłego roku wszystkie gruszki pogniją. Ani jedna nie ma prawa, żeby była.

I gdybyż tylko ciemnota i plotki. Były i gorsze rzeczy. Urzędy miejskie, z podziału przypadające Mikołajczykowi, okazały się bardzo sztywne w przestrzeganiu przepisów. Chłopi przyjdą na skargę — urzędnicę ręce rozkładają — nie poradzimy! My sami, najchętniej, duszy własnej chłopom nie poskapimy, ale co robić? Ustawa, rząd, wiadomo.

I wreszcie bandy. Trochę takich, co stale w lesie, więcej takich, co to w dzień w chacie, nocą na drodze. Nachodzili na wieś, łapali sprzyjających. Tego i owego — od razu kula w lew, bydło z obory, skrzynie do góry nogami. Innych — pałami, stemplami, batem — na oczach sąsiadów. Mniej czynnych — lagodniej, pięścią po twarzy — będziesz komunie służył? Bydło zabierano — wszystkim. Czasem i takim, najzupełniej biernym, którzy liczyli, że jakoś przesiedzą w chacie to zamieszanie, ani tym, ani owym się nie narażając. Z rana po takiej nocce szły gońce szukać ratunku do najbliższej placówki milicyjnej. W gminie przy-

Helena Modrzejewska w Lublinie

STANISŁAW DĄBROWSKI

Mija oto 70 lat od momentu, gdy w 1891 roku po raz pierwszy i ostatni gościła na scenie lubelskiej Helena Modrzejewska. Jej występy tutejsze wypadły w okresie ostatnich triumfów artystki na warszawskiej scenie. Wykorzystując wolne wieczory w przerwach, zdecydowała się na zagranie kilku (8) ról w Łodzi i dwukrotnie w Lublinie.

O ile w Łodzi udało się jej zagrać z tamtejszym zespołem w pełnych sztukach, które zespół miał w repertuarze w tym sezonie — Lublin musiał się zadowolić fragmentami, najcenniejszymi scenami z jej wielkich kreacji, granymi z doskonałym jej partnerem z warszawskiej sceny Bolesławem Ładnowskim. Lubelski teatr nie mógł wcześniej w swym zespole przygotować partnerów dla odegrania całych sztuk i Modrzejewska nie miała czasu na odbycie koniecznych prób.

Ruchliwemu dyrektorowi teatru lubelskiego Lucjanowi Kościeleckiemu, w porozumieniu z impresariem M. T. Magnuskim, udało się pozyskać Modrzejewską na dwa występy.

Właśnie skończyły się przedstawienia w lubelskim teatrze dawane przez rosyjskich aktorów z Moskwy pod dyrekcją pani Goriew.

Znakomita artystka przybyła do Lublina rannym pościągłem 21 marca w towarzystwie swego kolegi i partnera Bolesława Ładnowskiego i zatrzymała się w hotelu Victoria. Tegoż dnia wystąpili oboje po raz pierwszy w wieczorze składanym.

Wypełniona po brzegi sala teatru lubelskiego przybrała uroczysty, prawie stołeczny wygląd. Błyszczały toalety pań w łóżach i na parterze na tle czerni fraków panów, nawet na balkonach widać było tylko ciemne ubrania. Frekwencja dopisała mimo dwukrotnie zwiększonych cen biletów.



Modrzejewska w „Damie Kameliowej”
(Ze zbiorów Stanisława Dąbrowskiego)

Cichnie gwar widowni, gasną światła, unosi się kurtyna, na której widnieje namalowana perspektywa Krakowskiego Przedmieścia zakończona Bramą Krakowską. Wychodzi Ładnowski we fraku, recytuje „Farysa” Balińskiego. Po hucznych oklaskach ukazując się w wieczorowej, jasnej toalecie, niecierpliwie oczekiwana, ona — królowa scen starego kontynentu i Ameryki. Po burzliwych, długich powitalnych oklaskach

nastaje nabożna cisza i płyną pieściwe, pełne liryzmu i rzewnej skargi słowa poezji Kornela Ujejskiego. Modrzejewska-Agar każdym wyrecytowanym słowem trafia do dusz widzów. Milknie, chyli w ukłon swą złotowłosą głowę, dziękując za gorące oklaski i bukiety padające na scenę na jej powitanie. Po przerwie i zmianie toalety widzowie oklaskują w salonie „Dallli” zjawiskowo wytworną księżnę Falconieri i wspaniale prowadzony jej dialog z 3 aktu z nieszczerym suchotnikiem Ressweinem (Ładnowskim). Modrzejewska była właśnie w tym okresie znakomitą reprezentantką kobiet fatalnych, tj. dzisiejszych wampów, lawirujących w sferze powikłań psychologicznych, usprawiedliwiających częściowo perfidię ich akcji i zbrodniczych czynów.

Prócz frenetycznych oklasków otrzymuje artystka ogromny bukiet kwiatów, z złotym napisem na białej szarfie: *Wielkie Artystce — Lublinianie*.

Następuje pauza, zmiana dekoracji — na salę ponurego zamku „Makbeta”. W swej ciężkiej, surowej szacie północnego wczesnego średniowiecza zmagą się zbrodnica lady (w akcie IV) z swym losem i sumieniem. Głos nabrzmiewa mocnymi, niskimi tonami władczyni. Błyszcza podnieceniem niezłomne oczy. — Następnie scena monologu somnambulicznego jak zawsze i wszędzie, pogrąża widzów na przemian w podziw, zgrozę i zachwyty dla mistrzyni.

Niemilknące oklaski łączą się z owacją, z łóz i parteru pada deszcz kwiatów, wnoszą piękny bukiet w podzięk za arcyartystę gościa.

I znów przybywa do Lublina z Łodzi w Wielki Poniedziałek 30 marca na swój drugi występ. Przed wypełnioną widownią artystka rozpoczęła wieczór deklamacją wiersza Zygmunta Kraszińskiego „Pożegnanie”. Jej ulubiony utwór patriotyczny kilka razy przez nią w tym okresie wygłaszany wywoływał zawsze niezwykle gorące, demonstracyjne owacje, co spowodowało zaniepokojenie władz policyjnych i cenzury rosyjskiej. W rezultacie nałożono Modrzejewskiej w tym roku za samowolny wybór tego tekstu karę 200 rubli.

Nastąpiła scena z III aktu „Odetty” Sardou. Kulminacyjny dialog prowadził z Ładnowskim (mężem Clermont-Latour), z całą maestrią ujawniając przeżycia i charakter kobiety — jeszcze damy, ale ześlizgującej się na pochylni życia, krzywdzonej przez podłe otoczenie, zmuszonej zrezygnować z miłości córki.

Czytelnicy pragnący wziąć udział w tym Konkursie powinni podać nazwiska pisarzy i tytuły utworów, z których wyjęte są zamieszczone tu fragmenty związane z Lubelszczyzną. Odpowiedzi należy wysyłać do Redakcji „Kamery” (Lublin, ul. Graniczna 1-c) do dn. 1.VI. br., dołączając wycięty kupon.

Zwycięcy w Konkursie otrzymają nagrody rzeczowe i książki. Rozwiązanie Konkursu będzie podane w n-rze 11 (z dn. 15.VI).

7 Rozpoczęły się znowu nocne alarmy, przepadanie bez wieści mniejszych oddziałów. Wedle Kraśnika pojawiły się jakieś wojska polskie, które komunikację z Wisłą przecięły. Na koniec przyszła wieść, że pan Paweł Sapieha z potężną armią litewską idzie z północy, że po drodze mimochodem starł załogę w Lublinie, Lublin wziął i komunikację daży ku Zamościowi.

Widział całą okropność położenia najdoświadczeńszy z wodzów szwedzkich, stary Wittemberg, i otwarcie przedstawił ją królowi.

— Wiem — mówił — że geniusz waszej królewskiej mości cuda potrafi, ale po ludzku rzeczy biorąc, głód nas weźmie, a gdy nieprzyjaciel na wycieczonych nastąpi, żywa noga z nas nie ujdzie.

— Gdybym tę twierdzę posiadał — odparł król — we dwa miesiące wojnę skończę.

— Na taką twierdzę rok oblężenia mało.

Król w duszy przyznawał słusność staremu wojownikowi, nie przyznawał się tylko przed nim do tego, że i sam środków nie widzi, że jego geniusz wyczerpany.

Lecz liczył jeszcze na jakiś niespodziany wypadek — więc kazał strzelać dzień i noc.

— Ducha w nich pognębię, do układów będą łatwiejsi — mówił.

Po kilku dniach strzelaniny tak zacieklej, że światła spoza dymu nie było widać, posłał znowu Forgella do twierdzy.

— Król i pan mój — rzekł stanowiący przed starostą generał — liczy na to, że szkody, jakie Zamość ponieść od naszych dział musiał, zmiećczą wyniosły waszej książęcej mości umysł i do układów go skłonią.

8 — Panie! — zaczynałem już mówić chwytając za miecz estetyczny, kiedy dłuższy świst lokomotywy oznajmił zbliżanie się do Lublina.

Zamąciły się obrazy sielskie. Na widnokręgu dymi kilka kominów fabrycznych, wystrzeliło kilka wież, zapstrokać się od kolorowych domów. W porannym świetle wyglądało to żywo, ozdobnie, zamownie. Chciałem zwrócić uwagę (...), ale przypomniałem sobie wewnątrz miasta, nadzwyczajne zabytki, średnio-wiecznej architektury przy biednych uliczkach — i nie mając jakoś nic nadto do powiedzenia, zamilkłem.

W Lublinie każdy z nas miał swoje sprawy; spotkaliśmy się dopiero przy późnym śniadaniu. Dla mieszkańców wsi, przybyłych z okolic, była to pora obiadowa, więc tłum w

niewielkich pokojach najlepszej miejscowej restauracji był znaczny. Znalazło się paru znajomych, do których przysiedliśmy się. Kilkanaście osób jechało przez Lublin w powrocie z prowincjonalnych wyścigów, a w niewielkim mieście, gdy „panowie przyjadą”, czyni się zaraz pełno.

Wyraży turf, start, finish wymawiano głośno z pewną arystokratyczną wyższością, czasem znowu w kombinacjach angielsko-polskich, jak np.: „szkapa finiszowała siarczyście”.

9 Z dojazdami ze stacji do osady jeszcze tu nietęgo — mruknął usprawiedliwiająco inspektor starannie podwiązując wąty szalikiem podniesiony kołnier równie wątego płaszczu.

— Ale mamy już prawdziwie dalekobieżne z Karpina autobusy.

— Przechodzą przez Żeleźno?

— Nie tędy. To droga nadal boczna. Szosa.

Zjawia końska pracowała z usilnością dającą nadspodziewanie realny wynik, tak że Salomea spojrzawszy na zegarek i porównawszy mijany odcinek drogi zauważyła, iż do występu pozostaje jej nieco swobodnego czasu. Była więc możność zrobienia tego, co sobie dawno zamierzyła.

— Czy udając się na miejsce, będziemy przejeżdżali obok Kościelnego Wzgórza? — zapytała.

— Nnie — wymamrotał za szalika inspektor, któremu ból zęba począł widocznie dotkliwiej doskwierać na powietrzu. Nnie. Sala zamówiona jest w budynku Szkół Zawodowych, onni mmają najobszerniejszą. Poczochrał melancholijnie obolały policzek o kołnier. — Tto jest w Wawozach, jeśli pani dobrze ossadę pamięta.

— Więc po drugiej stronie Żeleźna? W każdym razie skręcimy na szosę?

— Zrazaz zza mostem.

— Dobrze. Od mostu do Kościelnego Wzgórza mały był, pamiętam, nakład drogi. Z powrotem, od wzgórza możemy pojechać Lipową Aleją wprost na park zdrojowy. Czasu dość. Potrzeba mi wszystkiego piętnaście — dwadzieścia minut. Dobrze? Milczenie.

Droga dotąd biegnąca wysoko położonymi polami, gładko ze śniegu odwiana, zagłębiała się stopniowo w „głębocznice”, parów pełen zakosami leżących warstw śnieżnych, zlodowaciałych z wierzchu, a pod spodem grząskich.

Dziwaczny pojazd milczącego woźnicy ciągniony przez dziwoszką przebrnął i przez to. Oto dudni pod kopytami i kołami klawiszowaty

most. Zakręcił ostro za mostem. Stro-mizna. Wyjeżdżają pod Wzgórze z ry-sującymi się ostro miedzianymi heł-mami kościola, z czarną na zbrocu armią cmentarnych krzyżyków.

10 Księżyc przybywał w nocie czerwcowe patrząc przez wielkie okna w głąb izby i napelniał ją rojowiskiem sennych widziadeł. Trzy wielkie okna, jakoby tryptyk nieporównany, zawarły w ramach swych krajobraz najpiękniejszy pod słońcem. Stała w nich „Góra Poniatowskiego”, prasłowiańskie grodzisko z fosą na szczycie, szklana góra o stromych zboczach, które okrywa szkliwo twarde, przed nieskończonością lat wypalone dla obrony czysjęgół zamku na szczycie przed jakimś wrogiem. Ciągnęła się cynkowska dolina z błękitnym nad nią lasem, który zniżał się do niej jak strofa pieśni przepływająca w marzenie... Równina dalej lubelska, ziemia zbożem zasłana, tomaszowickie aleje, idące w dal, w świat. Bochotnicki kościół i cmentarz na wzgórze... Na futrynie tych okien wspierał łokiele mały mieszkaniec i zatapiał w przestwór oczy. O czym śnił wówczas, nucąc samemu sobie swoją własną piosenkę?...

Gdyby człowiek ułomny wiedział, gdyby mógł przeczuć, na co wznosi ściany domu, i co to się zawrze pod jego powalą — och, spaliby na stosie przekłete drewna, zanim je ręka najemnika w znoju ociosywał zaczęła toporem, zanim je ramię ludzkie zdźwignęło z ziemi!...

KUPON
NA UDZIAŁ
W DRUGIM
KONKURSIE
LITERACKIM
„KAMENY”
POD HASŁEM
„WIEDZA
POMAGA
W ŻYCIU”

Rola, którą często oklaskiwała publiczność amerykańska a rzadko oglądała polska, należała do znakomitych kreacji Modrzejewskiej, a melodramatyczny klimat sztuki zawsze zdobywał widownię.

Następnie zjawia się biała postać Ofelii, tragicznej bohaterki „Hamleta”.

Widownia śledzi z zapartym tchem każdy jej chrobliwy gest, każdą nutę tekstu tej słynnej roli. I nikt z widzów nie dostrzegł w Ofelii 50-letniej artystki. Wśród przeciągłych okłasków składają a jej stóp ogromny wieniec, na szarfie napis: Mistrzynie słowa Helenie Modrzejewskiej, dnia 30 marca 1891 — młodzież lubelska.

Wieczór kończy ostatni akt z jej ulubionej roli, tej, którą w 1868 podbiła na pierwszym swym występie w Warszawie, w 1877 roku Chicago, a wkrótce całą Amerykę i Anglię. To rola tytułowa w sztuce „Adrianna Lecouvreur”, już starym ale mocnym scenicznym dramacie Scribe’a. Modrzejewska prowadziła indywidualną linię zupełnie odrębną od tej, którą szła Sara Bernhardt — logiczniejszą i uszlachetniającą. Sara tworzyła postać co moment innej i kapryśnej aktorki. Modrzejewskiej kreacja była skupiona w uczuciu głębokiej miłości do Maurycego.

Coraz częściej ukazują się przy oczach widzów jak białe motyle — chusteczki, błyszczą w mroku szkła lornetek śledzących pilnie każdy moment gry...

Ciężko zasuwa się kurtyna. Cisza trwa krótko, zrywają się oklaski, którymi Lublin nagradza kreacje Modrzejewskiej i Ladnowskiego.

Odjeżdżała w nocy, odprowadzana na dworzec tłumem publiczności. Tam, przechodząc wzdłuż szpaleru, żegnana okrzykami hołdowniczymi i prośbami o rychły powrót, zapewniała publiczność, że pragnie znowu przybyć.

Lublin żegnał największą polską artystkę z odrobiną nadziei, że może kiedyś znowu błysnie na tej scenie, przybywszy zza oceanu. Jednak już nie mogła ani na teren Królestwa Polskiego powrócić, ani do Cesarstwa Rosyjskiego, gdyż w 1893 roku dnia 19.V., w czasie Międzynarodowego Kongresu Kobiet w Chicago płomiennie przemówienie Modrzejewskiej krytykujące ostro carskie metody ciężkiego ucisku stosowanego do narodu polskiego, zamknęły jej na zawsze drogę na sceny polskie pozostając pod tym zaborem.

Wielka artystka i gorąca patriotka była najlepszym ambasadorem sprawy polskiej i obrońcą narodu za granicą.

Stanisław Dąbrowski

**PRIMA-
APRILI-
SOWY
TEATR**

**JERZY
DOSTATNI**

W połowie stycznia br. rozstrzygnięty został drugi etap konkursu na projekt architektoniczny nowego gmachu teatralnego w Lublinie. Niemal dokładnie siedem lat wcześniej Rada Ministrów specjalną uchwałą przyznała Lublinowi odpowiednie środki na wybudowanie takiego teatru. Działo się to w dziesiątą rocznicę odzyskania niepodległości, a sens uchwały był taki, aby w piętnastą rocznicę w nowym teatrze mogło się odbyć pierwsze przedstawienie. Tej olbrzymiej szansy nie potrafiliśmy wykorzystać. Pieniądze w planie państwowym kilkakrotnie przesuwano z roku na rok, czekając, aż władze miejscowe zabiorą się do dzieła. Ale ponieważ do ubiegłego roku nikt się nie zabrał, trudno dziwić się ministrowi finansów, że przewidzianą dla nas sumę pieniędzy dał na inną inwestycję, zresztą nie na terenie naszego województwa położoną.

Wydawało się więc, że po tak przykrym doświadczeniu przy następnej okazji będziemy działać szybko i zdecydowanie. W roku ub. rozpisaliśmy ogólnopolski konkurs architektoniczny, którego drugi etap zakończył się właśnie w styczniu nagrodzeniem i przeznaczaniem do realizacji projektu jednego z najbardziej znanych architektów polskich — inż. Bienkuńskiego z Warszawy. Niestety okazuje się, że z poprzedniej nauki nie wyciągnęliśmy żadnego wniosku. A jak to się stało — opowiem.

Przywilej i obowiązek dziennikarski sprawił, że kilkanaście godzin po rozstrzygnięciu konkursu znalazłem się w warszawskim mieszkaniu inż. Bienkuńskiego. Ponieważ artykuł na marginesie tej rozmowy mógł ukazać się w „Kurierze Lubelskim” dopiero po kilku dniach, przekazałem natych-

miast trzem zainteresowanym osobom urzędowym w Lublinie prośbę architekta: „Jeżeli do marca otrzymam zlecenie, zdolam wraz z moimi współpracownikami opracować dokumentację techniczną przed końcem roku, co pozwoli na ewentualne wprowadzenie budowy teatru do planu 1962 r. Później — dodał inżynier — chyba wcale nie będę mógł przyjąć zlecenia, bo zostaną zasypany innymi, a przecież nikt nie może wymagać ode mnie i moich kolegów, abysmy beczynnynie czekali, czy i kiedy władze miejskie w Lublinie zdecydują się”.

Każdy dzień był więc drogi. Gdybyśmy nawet chcieli zlecić opracowanie dokumentacji komu innemu, co chyba nie byłoby właściwe, sytuacja wytworzyłaby się identyczna: każdy inżynier, każde biuro projektów miało by już tegoroczny plan wypełniony całkowicie. Tak minęły trzy miesiące. Zdawało się, że zatwierdzone już przez Ministerstwo Kultury i Sztuki projekt architektoniczny przetrwałby w ową dokumentację techniczną. Aby się o tym upewnić, dzwonię do Wydziału Architektury PMRN w Lublinie. Było to 8 kwietnia.

— Projekt teatru? Jest już dawno przez nas zatwierdzony i odebrany przez Wydział Kultury. Co dalej — nie wiemy, to nie nasza sprawa.

Pomijając fakt, że sprawa jest jednak i „nasza” i „wasza”, że pojęcie „dawno” może być bardzo względne, dzwonię do Wydziału Kultury.

— Projekt wciąż tkwi w Architekturnie. Nie wiem, dlaczego tak długo przetrzymują. Szturmujemy, szturmujemy, ale nie dajemy rady, nasze interwencje nie odnoszą skutku.

Co u licha się stało? Projekt zdematerializował się czy to? Chyba

(Dokończenie na str. 10)

Z dziejów jednej biblioteki

Kamena 222: 1981 nr 8 s. 5, 6

ków zwartych ogółem 6646 woluminów oraz 140 tytułów czasopism.

Włączenie tak znacznej części księgozbioru Towarzystwa Lekarskiego do zbiorów Biblioteki Akademii Medycznej od razu uczyniło ją poważnym warsztatem pracy naukowej uczelni. Dobrze się stało, że taki właśnie, a nie inny los spotkał zbiory biblioteczne Towarzystwa Lekarskiego. Książki bezdomne — znowu zaczęły żyć i służyć nauce polskiej. W Bibliotece Akademii Medycznej znajdują się także dwa portrety zasłużonych bibliotekarzy, honorowych członków Towarzystwa: dr Aleksandra Jaworowskiego i dr. Kazimierza Jaczewskiego.

DR Aleksander Jaworowski (1849—1924) urodzony we wsi Włostowice na Lubelszczyźnie, pochodził z rodziny rzemieślniczej (ojciec stolarz). W Lublinie spędził lata dziecięce, tu ukończył gimnazjum w 1866 roku, studia medyczne ukończył na Uniwersytecie Warszawskim. W

Lublinie całe życie pracował. Z Towarzystwem Lekarskim wiąże się od pierwszej chwili jego powstania. W czasie wakacji będąc w Lublinie (po złożeniu egzaminów teoretycznych) zostaje zaproszony przez lekarzy organizatorów na uroczyste otwarcie 4 lipca 1874 roku Towarzystwa Lekarskiego Lubelskiego.

Następnie już jako lekarz osiada na stałe w Lublinie i tu rozpoczyna swą piękną działalność. Do Towarzystwa Lekarskiego należał przez 50 lat, tj. do końca swego życia. Pełnił w nim różne funkcje. Był wiceprezesa, prezesa, wieloletnim i kilkakrotnym bibliotekarzem. Wybrany na bibliotekarza dnia 4 lipca 1877 r. pełnił tę funkcję nieprzerwanie przez lat 12. W późniejszym okresie był wybierany ponownie i godność bibliotekarza

piastuje w latach 1915—1918, 1920. Jako bibliotekarz opracował i wydał nakładem Towarzystwa Lekarskiego w 1885 roku Katalog Biblioteki Towarzystwa Lekarskiego Lubelskiego.

Dr Aleksander Jaworowski był gorącym miłośnikiem książki. Nie poprzestając na działalności w Towarzystwie Lekarskim. Należał do grona założycieli Towarzystwa Biblioteki Publicznej im. H. Łopacińskiego w Lublinie, przez 11 lat był jego prezesem. Opracował Katalog rękopisów Biblioteki Publicznej im. Łopacińskiego w Lublinie, wydany nakładem Towarzystwa w 1913 r. Katalog ten obejmuje 1314 jednostek rękopiśmiennych; następnie opracował Dodatek I do katalogu rękopisów zawierający 414 jednostek rękopiśmiennych (poz. 1315—1728), wydany w roku 1917. Udostępnił w ten

sposób zbiory rękopisów i informował o ich wartości. Katalog ten po uzupełnieniu służy do dzisiaj. „Kronika Powiatu Zamojskiego” (Nr 14, IX 1918) zamieszcza przycinek dr Jaworowskiego na temat: Zamościana w Bibliotece Publicznej im. Hieromina Łopacińskiego w Lublinie, zawierający 11 poz. drukowanych i rękopiśmiennych z lat 1897—1930.

Z pracą w Towarzystwie Lekarskim nie przestaje się. Wygłasza referaty, demonstruje ciekawe przypadki chorób, bierze żywy udział w dyskusjach naukowych, publikuje prace naukowe. Kilkakrotnie piastuje godność prezesa Towarzystwa. Był niestrudżonym działaczem społecznym, idea pracy społecznej towarzyszyła jego poczynaniom od najmłodszych lat. W uznaniu zasług został wybrany członkiem honorowym Lubelskiego Towarzystwa Lekarskiego. Dyplomy członka honorowego otrzymał również od Towarzystwa Lekarskiego Krakowskiego, Warszawskiego i Łódzkiego. W 1922 r. dr Aleksander Jaworowski zostaje odznaczony orderem „Polonia Restituta”. Zmarł 25 lutego 1924 roku, przeżywszy 75 lat.

Na uroczystym posiedzeniu Towarzystwa Lekarskiego ku czci zmarłego dr Marek Arnsztajn mówił o nim: „W ciężkich chwilach Towarzystwa śp. Aleksander Jaworowski zasiadał na prezydijskim krześle, nie dla honoru i zaszczytu, ale aby Towarzystwo prowadzić ku światłu, ku szczęściu”.

Dr Kazimierz Jaczewski (1862—1934), urodzony w Wilkowie, pow. Konin, studia medyczne ukończył w 1886 r. na Uniwersytecie Warszawskim, potem osiadł na stałe w Lublinie i tu objął ordynaturę w Szpitalu św. Józefa, a następnie stanowisko naczelnego lekarza, poświęcając się tej pracy przez 47 lat.

Pozostawał w ścisłym kontakcie ze środowiskami naukowymi w kraju i za granicą. W roku 1925 założył w Lublinie Oddział Polskiego Towarzystwa Dermatologicznego, w którym aktywnie pracował do końca swego życia. Czynnikiem do działania Lubelskiego Towarzystwa Lekarskiego i zasłużony bibliotekarz. W roku 1891 nakładem Towarzystwa wydał Dopełnienie I do Katalogu Biblioteki Towarzystwa Lekarskiego Lubelskiego. Dopełnienie obejmuje 212 pozycji (1974—2185). Jest to katalog rzeczowy, systematyczny. Dr Jaczewski należał do grona organizatorów i założycieli Towarzystwa Biblioteki Publicznej im. H. Łopacińskiego w Lublinie. Przez 26 lat był jego sekretarzem, a obok dr Aleksandra Jaworowskiego także kierownikiem Biblioteki oraz bibliotekarzem pełniącym tę funkcję honorowo. Opublikował m. in. artykuł: Biblioteka Publiczna im. H. Łopacińskiego w Lublinie („Region Lubelski” 1929 nr 2). Na 25-lecie Biblioteki wydał szkic: „Pierwsze ćwierćwiecze Biblioteki Publicznej Hieromina Łopacińskiego w Lublinie” (Lublin 1933).

W okresie międzywojennym dr Jaczewski walczył aktywnie o ustawę biblioteczną. Wysoko cenil pracę bibliotekarza. Sprawę obsady kierowniczego stanowiska w bibliotece przez specjalistę-bibliotekarza traktował jako warunek nieodzowny należytego funkcjonowania biblioteki i właściwej obsługi czytelników.

Dr Kazimierz Jaczewski dzięki swej długoletniej, niestrudzonej pracy w Towarzystwie Lekarskim Lubelskim został wybrany jego członkiem honorowym. Zmarł dnia 1 marca 1934 r. w Warszawie, pochowany zaś został w Lublinie. Na uroczystym posiedzeniu w dniu 18 maja 1934 r., zapadła uchwała, aby fundusz stypendialny istniejący przy Towarzystwie Lekarskim nazwać im. dr Jaczewskiego, a w sali posiedzeń zawiesić portret zmarłego dr Jaczewskiego.

W danym szpitalu św. Józefa, obecnej Klinice Dermatologicznej Akademii Medycznej, wmurowana jest tablica z następującym napisem: „Sp. Dr Kazimierzowi Jaczewskiemu ku uczczeniu jego zasług i półwiekowej pracy na stanowisku naczelnego lekarza Szpitala św. Józefa tę tablicę funduje Rada Związku Międzykomunalnego Lublin Listopad 1935”.

Biblioteka Lubelskiego Towarzystwa Lekarskiego w środowisku takim, jak Lublin, gdzie nie było w owych latach zbiorów bibliotecznych z tej dziedziny wiedzy spełniała poważną rolę, dawała członkom Towarzystwa podstawy do kontynuowania pracy naukowej i podnoszenia sztuki lekarskiej na wyższy poziom.

Stanisław Kowalczyk

BIBLIOFILE I BIBLIOFILSTWO

TADEUSZ J. ŻÓŁCIŃSKI

W czasie ostatniej wojny straciliśmy wiele prywatnych księgozbiorów, tak pieczołowicie przechowywanych i kompletowanych przez całe pokolenia. Ilekć cennych inkunabułów, pierwodruków, rękopisów nikomu nieznanym, o wartościach niewymiernych, zawierały te prywatne zbiory, porozsiewane po całej Polsce, których nie brak było w dawnych dworach szlacheckich, pałacach magnackich, bogatych siedzibach mieszczaństwa, czy wreszcie u bibliofilów z prawdziwego zdarzenia, którzy na książki wydawali ostatnie pieniądze. Przepadły raz na zawsze, zniszczone barbarzyńską ręką najeźdźcy, nie dotarłszy niejednokrotnie już nie tylko do rąk szerokiego kręgu odbiorców, ale nawet do rąk badacza, uczonego.

Wojna zniszczyła u nas także niemal całkowicie ruch antykwaryczny. Bezpowrotnie zginęły małe i duże antykwariaty prywatne Warszawy, Krakowa i innych miast. A to, co obecnie jeszcze można spotkać, nawet w największych antykwariatach stolicy, jest nikłą cząstką zbiorów, jakie w każdej chwili mieli do zaoferowania choćby poszczególni sprzedawcy przedwojennej warszawskiej ulicy Świętokrzyskiej.

Toteż zaraz po wojnie wydawało się, że zbieractwo książek zaginie u nas zupełnie, że przedwojenni bibliofile (w szczególności warszawscy), straciszcy wszystko, nie będą chcieli jeszcze raz zaczynać od początku. Na szczęście mania kolekcjonerska okazała się silniejsza niż wszystko. I oto ci sami ludzie ogarnięci „szaleństwem” kolekcjonowania książek, ludzie, których od zbieractwa nie odstraszyły ani zniszczenia wojenne, ani ciężkie warunki życiowe pierwszych lat powojennych, od nowa zaczęli kompletować zbiory. W nielicznych antykwariatach, porozsiewanych po większych miastach, znowu można ich spotkać myszkujejących całym godzinami po półkach z książkami.

Tak więc bibliofile przetrwali wszystko i dziś znowu triumfują. Bo bibliofilstwo to mania, to nałóg, ale chyba najpiękniejszy, najszlachetniejszy, najwartościowszy, jaki tylko może uprawiać człowiek. Jest to chyba zresztą jedyny nałóg, który nie trwoni wartości człowieka, ale przeciwnie, skupia je i uszlachetnia. Wielu ludzi nie zdaje sobie sprawy z faktu, że właśnie ci maniacy są chyba największymi w skali narodu gromadzicielami dzieł kultury. I obecnie nie ma na świecie takiego muzeum czy biblioteki, która choćby części swoich zbiorów nie zawdzięczała prywatnym zbieraczom.

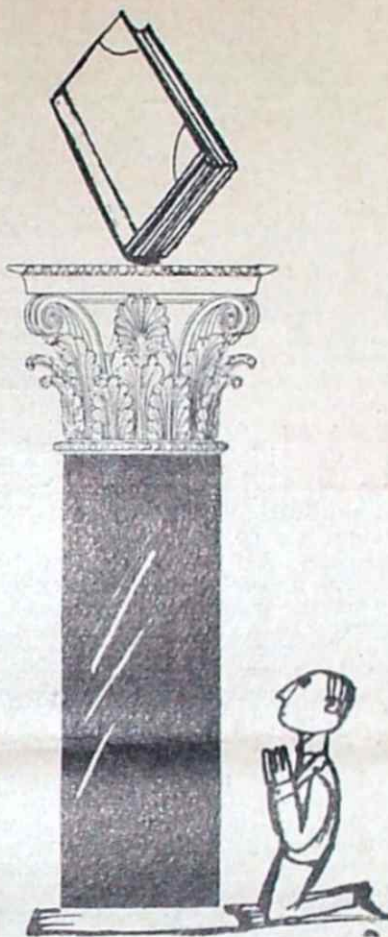
Lecz niestety, obecnie w Polsce bibliofilów z prawdziwego zdarzenia, typu Jana Michalskiego, Ludomila Lewenstama, Stanisława Konopki, Edwarda Wrockiego, jest naprawdę znikoma ilość. Toteż ci, którzy zostali, dla siebie samych, a przede wszystkim z myślą o innych, którzy by chcieli kontynuować piękną tradycję kolekcjonowania książek, założyli teoretycznie na terenie całej Polski, a praktycznie tylko w Warszawie Towarzystwo Przyjaciół Książki — innymi słowy towarzystwo bibliofilów. Członkowie — wszystko starsi panowie i panie — zbierają się raz w miesiącu przy czarnej kawie w wypożyczonym grzecznościowo przez jedną z warszawskich redakcji lokalu i prowadzą ciekawe, nieraz wiele godzin trwające dyskusje i pogawędki o książkach i zbieractwie. Wielu na te zebrania przynosi swoje najnowsze nabytki, cudem zdobyte, nie wiedzieć skąd. Toteż często na tych zebraniach można obejrzeć niejedną rzadkość bibliofilską, niejedną biały kruk.

Ale niestety kontynuatorów tradycji bibliofilskich ciągle brak. Bo młode pokolenie nie przejawia większych zainteresowań starą książką, drukiem, rękopisem, gazetą. Nie przeżywa wzruszeń przy szperaniu po zakurzonych półkach, gdzie można znaleźć niejedną bibliofilską rarytas. Sam pamiętam, jak kiedyś pędziłem co sił w nogach do domu, dźwigając pod pachą maleńki tomik statutów masonerii polskiej wydany pod koniec XVIII wieku, a który zdobyłem u kolegi za jakiś marny dziesięciozłotowy kryminal.

I aż dziw bierze, że właśnie dziś, kiedy książka jest stosunkowo tania, kiedy tyle pieniędzy poświęca się na propagandę czytelnictwa, tak mało jest bibliofilów i zbieraczy z prawdziwego zdarzenia. A może właśnie dlatego? Gdzie szukać przyczyn?

Bo chyba nie jest to wina wydawnictwa, które robią wszystko dla dobrej propagandy książki. Już sama strona edytorska i plastyczna, stawiająca nas w czołowe wydawnictwo światowych, jest dużą zachętą do kolekcjonowania. Przecież wiele książek obecnie wydawanych za kilkadziesiąt lat nabierze swojej bibliofilskiej wartości. Choćby seria „Nike”, „Jedno-rozka”, „Biblioteki Poetów”.

A więc czyja to jest wina, że pokolenie powojenne już nie tylko pozbacone jest żylki zbierackiej, ale ma do książki stosunek wręcz wandaliski (wystarczy obejrzeć książki zwracane do bibliotek publicznych). Czy też jest to wina nas samych — domu, szkoły, otoczenia, że w nowym pokoleniu nie potrafimy zaszcześcić idei zbieractwa? Częściowo na pewno tak. Ale jest to również wina jakiejś niestęchanie daleko posuniętej standaryzacji życia codziennego, która daje się zauważyć na każdym kroku. Oto drobny przykład: W Polsce istnieje obecnie kilkanaście tysięcy księgarń. Ale ile spośród nich poza oficjalną wywiesską „Księgarnia — Dom Książki” ma jakąś nazwę, która by coś bliżej o niej mówiła? Owszem, jest w Warszawie kilka księgarń, które zbuntowały się przeciw szablonowości, niemal apte-



karskiej numeracji i samorzutnie (być może samowolnie) ponadawały sobie nazwy. A reszta? Reszta zaleca zimi-nymi neonami nazwy dystrybutora, którym jest Dom Książki.

A ponadto dzisiaj nastawienie do literatury, do książki, u większości ludzi jest wyłącznie konsumpcyjne. Co prawda pokolenie młodych czyta dziś o wiele więcej niż pokolenie przedwojenne, ale czyta chaotycznie, bez żadnego planu, według jednego kryterium, którym jest nowoczesność. Czyta snobistycznie, to co w danym momencie jest najbardziej modne. Może dlatego często mylimy znikanie w ciągu jednego dnia Saganki, Kotowskiej czy Randona z zamilowaniem zbierackim i szerzeniem się kultury słowa pisanego.

Dlatego kończąc ten przydługi pesymistyczno-dydaktyczny niby felieton, występuję z apelem: zacznijmy młodzież uczyć zbieractwa, kolekcjonarstwa, miłości do starych książek. Niech młodzież przestanie być tylko konsumentem nowości. A być może za kilkadziesiąt lat będziemy mogli znowu chwalić się pięknymi, starymi prywatnymi zbiorami. Nie wstydzimy się zaszcześcić zamilowania do zbieractwa — jednego z najpiękniejszych i najszlachetniejszych nałogów, jakiemu może ulec człowiek.

A o antykwariatach rezerwuję sobie w przyszłości specjalny felieton.



W STRONĘ MŁODYCH

WIESŁAWA
KARACZEWSKA
Do Grecji

Grecjo daleka, znana tylko z baśni —
z złotych okruczeń słońca, zgubionych na drodze
wieków, czyż ujrze Cię kiedyś?
Czy dotknę śmiertelną stopą ziemi,
która była kolebką bogów?
Grecjo, matko pradawna szarych skal,
drzew oliwnych, różowych marmurów i srebra

rodzicielko wieczna nieba jak aksamit
z tysiąca kolorów spleciony...
Grecjo... Pozwól, bym kiedyś w życiu
płynęła po twych przejrzystych wodach,
spod Posejdonowego miecza tryskających,
bym całe twoje piękno, smukłość twoich kolumn
zapamiętała jak najpiękniejszy wiersz,
bym widziała miejsca twoich klęsk sprzed wieków
i wieczny blask olimpijskiego, płonącego znicza!

[Laurionu,

ANDRZEJ PAPIERKOWSKI

B a l

Zapalam srebrną konstelację
nad twym profilem
okrećam warkocz Bereniki
kolia na szyję.

Szukałem długo w firmamencie
wachlarza z gwiazd
lecz nagle świetlik w mojej dłoni
zasnął i zgasł...

Nie płacz kupię balonik z gwiazdką
na srebrnej nici...
niech sobie tańczy nad głowami
gdzieś na sutficie.

Nad ranem zgaśnie konstelacja
zmlkną przeboje
tylko balonik będzie fruwał
nad twym pokojem

STANISŁAW PORĘBA

Motyw z wiśniami

Maryst

Kiedy na kłosach spocznie
ostatni już kolor,
maki — rany na ciele lanów
zagoją się —
porzucając płatki,
powietrze dojrzałe od zapachu chleba
przekreśli jak głos nieznanego ptaka
klekot ostrzonej kosi —
przyniosę Ci z ogrodu
dwie płomienne wiśnie.

Córki plemienia bez ciepła —
fotografie warg,
napojone winem i słodyczą
z pucharu lata.

Całowane grzebieniami wiatru,
oddechem Wisły i lasu,
piasku,
macierzanki —
w krajobrazie mojego dzieciństwa.

Dwie wiśnie — jak z broszki,
którą nosisz przepiętą do sukni.

LUBLIN 960-1960

ELŻBIETA ROSIAK

Jakiś czas temu ukazał się w „Kamieniu”
artykuł Leszka Prozora o najstarszych
czwartkach literackich w Poznaniu, które
zobowiązywały się do wzajemnej pomocy
i pomocy. Wydaje się, że warto również
zainteresować się bliżej lubelskim czwart-
kami, bo i my mamy z pewnością wiele po-
wodów do zadowolenia, chociaż narodziny
ich przypadają dopiero na listopad 1960
roku. Wówczas to właśnie na łamach „Sztan-
daru Ludu” ukazał się artykuł zapowiadający
organizację cyklu odczytów pod
nazwą „Lublin 960-1960”. Argumentowano
w ten sposób:
„Mieszkamy w mieście, które należy do
najstarszych w Polsce i w ciągu wieków
odgrywało w historii całego kraju znako-
mitą rolę. Dzieje Lublina znane są jednak
tylko nielicznym garstce osób. A tymczasem
sa one ciekawym i niejednym historycz-
nego romansu”.

Organizatorami tej imprezy byli: Redakcja
„Sztandaru Ludu” oraz Polskie Towar-
zystwo Historyczne. Jeśli zaś chodzi o bli-
ższe dane — niewątpliwie należy wskazać na
redaktora Romualda Wiśniewskiego, który
włożył wiele wysiłku w realizację tego pię-
knego projektu. Zorganizowanie imprezy nie

należało do rzeczy łatwych. Trzeba było
zmobilizować kilkunastuosobowy zespół pre-
legentów, którzy zapewniłby zarówno wia-
ściwy poziom naukowy prelekcji, jak też
jej atrakcyjną i przystępną formę. Należało
zdobyć zainteresowanie społeczeństwa,
unikającego raczej odczytów, w dodatku
naukowych.

Trzeba przyznać, że organizatorzy zdali
egzamin na piątą i od pierwszego odczy-
tu, który w dn. 17 listopada 1960 r. wygło-
siła mgr Marta Młynarska na temat „Wyko-
palisk na Czwartku, frekwencja w „Norze”
była doskonała — wynosiła od 150 do 300
osób. Zainteresowanie odczytami było tak
duże, że już po drugim „czwartku”, na
którym prof. dr Jerzy Kłoczowski mówił o
początkach historycznego Lublina do
połowy XV w., Klub Garnizonowy zwrócił się
z propozycją powtórzenia tych odczytów
dla wojska.

Problematyka odczytów była bardzo ho-
gata. Od wykopalisk i początków miasta
dzieje Lublina zostały doprowadzone aż do
czasów współczesnych. I tak prof. dr Ka-
zimierz Myśliński mówił o naszym mieście
w okresie średniowiecza, o jego znaczeniu
strategicznym i politycznym, a także ce-
chach rzemieślniczych. Mgr inż. Henryk Ga-
warecki poświęcił prelekcję architekturze
Lublina, zwłaszcza jego murem i urządze-
niam obronnym. Tematem odczytu prof. dr
Aleksandra Gardawskiego były badania ar-
cheologiczne na Lubelszczyźnie, zaś prof.
dr Józef Mazurkiewicz mówił o osadach Lu-
blina, które dziś są przedmiotami, sądo-
wnictwie, lokacji miasta z 1317 r. i Trybu-
nałe Koronnym. Zyciem mieszkańców Lu-
blina w XVI i XVII w. zajęli się dr Sta-
nisław Tworek i dr Maria Stankowa, a zna-
czeniem miasta na arenie ogólnopolskiej dr
Jerzy Reder. O architekturze Lublina w do-
bie renesansu i baroku mówił mgr inż. Hen-

ryk Gawarecki, natomiast mgr Władysław
Cwik naszkicował obraz Lublina z ostat-
nich lat Rzeczypospolitej. O historii dru-
karstwa, prasy i wydawnictw mówił dr
Roman Rosiak, o rozwoju Lublina jako
miasta przemysłowego w XIX wieku — dr
Aleksander Kierek, o dziejach miasta w
pierwszej połowie XIX w. — doc. dr Ta-
deusz Mencil. Tematem prelekcji prof. dr
Juliusza Willaume było życie ludności ży-
dowskiej w XIX w. i dzieje Ogrodu Saskie-
go. Przelom XIX i XX wieku a szczególnie
ruch robotniczy, był tematem odczytu
dr. Stanisława Krzykały. W atmosferze ży-
cia literackiego i teatralnego w Lublinie
w okresie XX-lecia wprowadził zebranych
mec. Konrad Bielski, zaś cykl odczytów
zamknął dr Zygmunt Mańkowski, który
mówił o okresie okupacji i o ruchu oporu.

Problematyka odczytów w głównej mie-
rze ograniczała się do zagadnień społecz-
nych, politycznych i gospodarczych, sto-
sunkowo mniej było odczytów poświęco-
nych kulturze Lubelszczyzny, jej wybit-
nym ludziom i ich dziełom. Faktem jest
jednak bezspornym, że każdy z tych
17 odczytów był dobrą lekcją historii i
nazywał się do poznania dzieł naszego
miasta przez liczne grono zarówno
starych bywalców, których ta impreza po-
biła, jak i rzadszych gości, interesujących
się tylko jakimś szczegółowym zagadnie-
niem. Rejestrując ten sukces warto jed-
nocześnie zastanowić się nad jego źródłami.
Wydaje się, że jest ich bardzo dużo. Przede
wszystkim trzeba tu wspomnieć o proba-
gandzie. Każda prelekcja była sygnaliz-
wana na łamach „Sztandaru Ludu” trzy-
krotnie. Pierwsza zapowiedź z bardzo
atrakcyjnymi tytułami ukazywała się na
dzień przed odczytem. W dniu prelekcji
publikowano obszernie streszczenie, zdjęcie
prelegenta i informacje na temat jego

tworzenia obrazów geometrycznych,
spiętrzonych architektonicznie, co dało
przerost metafory.

Wszystkie te wpływy i naleciałości
świadczą, że Awangarda jest późnio-
nym, poetyckim zaściankiem poezji
zachodniej tamtych czasów.

Trzeba powiedzieć wyraźnie, że w
Polsce w chwili obecnej poezja nowo-
czesna sensu stricto nie istnieje.
Brak jej wielkich, rodzimych tradycji,
brak indywidualności, które by epa-
towały poza granicami kraju, w sen-
sie trwałego wpływu, na skalę szkoły
poetyckiej. Miarą talentu jest dzisiaj
stopień kultury literackiej, inteligencja
i twórczość mistrzów, z których się
czepie. Szukanie tych mistrzów w kra-
ju, w poetach Awangardy, obniża
rangę poszukującego. Nie warto sta-
wiać na poezję modną, ale przeciętną,
trzeba stawiać na poezję wielką, wielu
jednak połamało zęby na tych ambi-
cjach, ale to już inna sprawa, sprawa
talentu.

Nadrealizm sprawił i dalej sprawia
wiele kłopotu krytyce literackiej. W
ostatnich latach odkryła ona kilku
polskich nadrealistów, którzy w rze-
czystości mieli mało wspólnego
z tym kierunkiem. Tak było z Bursą,
tak jest z Harasymowiczem, „odkry-
tym” przez Kwiatkowskiego, który
specjalizuje się w rozdawaniu nad-
realistycznych etykietek.

Mieliśmy i mamy poetów nadreali-
zujących, ale nie mamy „programo-
wego” nadrealisty. Nieporozumienie
pochodzą z powszechnego a niesłusz-
nego pojmowania nadrealizmu jako
anarchii, poety jako Pytli. Breton w
pierwszym manifestie określił nadreal-
izm jako czysty „automatyzm psy-
chiczny”, ale bynajmniej nie myślowy.

„Tworzenie pod dyktandem myśli przy
jednoczesnym wyrzuceniu się jakiej-
kolwiek kontroli rozumu i troski o
zgodność z estetyką lub moralnością”.
To pozornie wykluczające się zdanie
zawiera istotę kierunku: rozum, inte-
lekt, nie dane są twórcom, po to by
ograniczać jego swobodę, kazać mu
tworzyć na miarę rzeczywistości. Myśl
ma służyć marzeniu, organizować je
i poprzedzać. Już pierwsi poeci nadreali-
ści odeszli od tych założeń: jedni
w kierunku poezji bezsensu, dru-
dzy, jak P. Soupault zaczęli pisać zbyt
„logicznie” jak na radykalizm kierun-
ku przystało. W środku pozostało nie-
wiele prawdziwych nadrealistów z
Eluardem na czele. W Polsce widzimy
podobny rozdział: z jednej strony —
poezja tajemniczego bełkotu, z dru-
giej — proza poszarpana na efektywnie
zalamujące się wersy. W obydwu wy-
padkach blaga, łatwizna, nad którą
patronat objęła krytyka.

Jest kilka młodych, teraz już „śred-
nich” poetów, wobec których ten po-
dział byłby krzywdzący. Poetów, któ-
rych cechuje szacunek do słowa, któ-
rzy potrafią się z niego rozliczyć. Poetów,
którzy doskonali się poza
modnymi koteriami i z dala od wiel-
kich rozgrywek wydawniczych...

Jest sprawą palącą oczyszczenie
współczesnej poezji polskiej z trzecio-
rzędności i kłusownictwa na rzecz
poezji prawdziwej i ambitnej. Nie jest
ważne, jaka szkoła będzie przeważała,
tradycyjna czy nowoczesna. Jest tylko
poezja dobra i poezja zła i czas wielki
aby ta stara prawda znalazła należyte
zrozumienie. Istnieje i będzie istnieć
zawsze jedno, niezależne od mód i
poetyk, odwieczne „technienie” poezji,
zawsze pozwalające odróżnić talent od
kłusownictwa.

Te formy propagandy warto dzisiaj mo-
no podkreślić w obliczu rozpoczynających
się Dni Oświaty, Książki i Prasy. Doświad-
czenia „Sztandaru Ludu” winny stać się
pomocą w realizowaniu zadań, jakie stoją
przed działaczami kulturalnymi i społecz-
nymi. Inneż „Lublin 960-1960”, dzięki
zainteresowaniu społeczeństwa historią na-
szego miasta, stała się cennym wkładem
do obchodów Milenium. Poza tym jest jes-
zcze jeden wniosek tej akcji: „Sztandar Lu-
du” w anarciu o wspomniany cykl odczy-
tów usomniał się o udanie ideału lubel-
skich nazw związanych z nazwiskami wybit-
nych ludzi Lubelszczyzny o których była
mowa zarówno w ramach odczytów, jak
i dyskusji.

Jeżeli można mieć pod adresem organi-
zatorów jakąś drobną pretensję to chyba
o to, że na łamach „Kultury i Zycia” nie
ukazały się obszernie autoreferaty ze wszyst-
kich „czwartków”. Zbiór takich odcinków
stanowiłby dla wielu mieszkańców naszego
miasta podreczną encyklopedię wiedzy o
dziejach Lublina.

Nowoczesność - słowo nieznane

HENRYK PAJĄK

Nietrudno wykazać, że nadrealizm,
futuryzm i kubizm — trzy najgłośniejsze
„izmy” tamtych czasów, leży u
podstaw Awangardy. Prawie wszyscy
twórcy tej grupy przebywali za granicą.
Peiper — Paryż, Hiszpania. Brzę-
kowski redagował w Paryżu czasopis-
mo „Poetycko-plastyczne”, „Sztuka współ-
czesna” (Art contemporain), wydał tam
również tomik poezji „Na katodzie”
(1929). Jalu Kurek był bliskim przyja-
cielem Marinettiego — twórcy futu-
ryzmu i w pierwszych numerach
„Zwrotnicy” zamieszczał przekłady jego
utworów. Apoteozą „współczesności,
kuli chwili bieżącej, peiperowski
„uścisk z rzeczywistością”, walka
z tradycją, to echa futuryzmu. Elementy
te były tak wyraźne, że po wojnie
powszechnie wyprowadzano Awangar-
dę z futuryzmu, dopiero J. Kurek w
artykule „Futuryzm a Awangarda”,
ogłoszony w „Zyciu Literackim” prze-
prowadził zdecydowane rozgraniczenia.
Nadrealizm również przeszedł przez tę
grupę. Wprawdzie Peiper potępił nad-
realistyczną zasadę „écriture automa-
tique” na rzecz pisania świadomego,
kontrolowanego, ale to nie przeszkodzi-
ło Brzękowskiemu w pisaniu nad-
realistycznych, częściej jednak bez-
sensownych wierszy. Przybós uległ
wyraźnie kubistycznym tendencjom

PRIMA APRILISOWY TEATR

(Dokończenie ze str. 7)

nawet wszystkie projekty, bo miała być wystawa łącznie z makietami, ale nic z tego nie wyszło... Dopiero w kilka godzin później, dzięki interwencji Miejskiej Komisji Planowania Gospodarczego, sytuacja wyjaśnia się. Zatwierdzony przez Architekturę projekt rzeczywiście znajduje się w Wydziale Kultury. I to od trzech dni, tyle, że osoby odpowiedzialne nie o tym nie wiedziały. Aby jednak sprawiedliwości stało się zadość, dodać trzeba, że Architektura zatwierdziła ten projekt dopiero 1 kwietnia. Z przymrużeniem oka stwierdzam, że był to akurat prima aprilis, a równocześnie ze zdziwieniem, że trwało to tak długo. Przecież w sędziu konkursowym, który nagradzał i przeznaczał do realizacji projekt, obok wielu wybitnych specjalistów spoza naszego miasta, zasiadali także: główny architekt miasta Lublina oraz kierownik pracowni urbanistycznej Wydziału Architektury PMRN. A więc chyba wymagane przepisami „zatwierdzenie” było tylko formalnością? I przy dobrej woli oraz emocjonalnym zainteresowaniu się całą sprawą ze strony obu Wydziałów PMRN wszystko można było załatwić najdalej w ciągu tygodnia. Niestety zwyciężyła raz jeszcze biurokracja i to chyba ta w najgorszym wydaniu.

W tej sytuacji trudno przewidzieć, kiedy projekt, wypełniając przewidziane prawem koleje losu, trafi wreszcie do KOPI Ministerstwa Kultury. Jeżeli na pokonanie trasy Zamek — Krakowskie Przedmieście 78 — Zamek trzeba było niemal 3 miesiące, to na drogę Lublin — Warszawa — Lublin wypadnie co najmniej 10 lat! To nie kpiny — proszę sprawdzić odległości na mapie. Proszę także wybaczyć tytuł niniejszego artykułu — jest przecież w pełni uzasadniony. Warto jeszcze

podkreślić, że jednym z członków jury konkursu był właśnie sekretarz owego ministerialnego KOPI. Więc chyba na tymże KOPI popierałby gorąco projekt, który sam uznał za najlepszy i przyspieszył załatwienie formalności. No ale cóż — raz jeszcze sami zaprzeczamy nasze szanse.

Prawdę powiedziawszy mógłby tu ktoś postawić pytanie: dlaczego tyle szumu o projekt, jeżeli pięcioletni plan inwestycyjny Lublina nie przewiduje nawet rozpoczęcia budowy takiego teatru? Czasu jest dosyć.

Istotnie plan nie przewiduje. Ale: 1) uchwała Rady Ministrów do dzisiaj nie została anulowana, 2) obecna wersja (finansowa) planu dostosowana jest do przewidywanego rozwoju gospodarczego kraju i jego możliwości, ale piętnastoletnia już praktyka wykazuje, że osiągnięcia gospodarcze idą naprzód szybciej, niż zakładał plan i wobec tego powstają już możliwości korygowania planu przez wprowadzanie nowych inwestycji 3) dwudziesta rocznica ogłoszenia na naszej ziemi Manifestu PKWN jest chyba dostatecznie słuszą okazją, aby po zmobilizowaniu wszelkich własnych możliwości wystąpić także do władz centralnych o dofinansowanie i na rocznicę oddać już teatr do użytku, 4) obecna wersja planu pięcioletniego dla Lublina w zakresie inwestycji kulturalnych wydaje mi się mocno dyskusyjna, co poniżej postaram się wykazać. Możliwości są więc różne, ale żadna z nich nie będzie mogła być wykorzystana, jeżeli nie będziemy mieli dokumentacji technicznej. Ponieważ te możliwości powstają z reguły raczej niespodziewanie, jest rzeczą konieczną przygotowanie dokumentacji w możliwie najkrótszym czasie. Stąd ów „szum”.

NIE tu miejsce, aby omawiać szczegółowo pięcioletni plan inwestycyjny Lublina w zakresie inwestycji kulturalnych. Jedną wszakże pozycją wydaje mi się nieuzasadniona

w obecnym układzie: budowa sali widowiskowej na 1500 miejsc. Nazwa zresztą wprowadza w błąd. W istocie chodzi o nowy gmach dla Lubelskiego Domu Kultury, którego część ma stanowić owa sala. Koszt budowy tej inwestycji przewiduje się na 20 milionów zł, z czego w pierwszym etapie w latach 1964—65 ma być wydatkowanych 8,5 miliona zł, reszta później. Gmach ma stać w rejonie ulic Prusa i Północnej i razem z przyległościami zająć 2,7 ha.

W Wydziale Kultury PWRN długo tłumaczono mi słuszność założeń planu. Ogólnie mówiąc, polega on na tym — zdaniem Wydziału — aby najpierw zaspokoić inne pilne potrzeby w zakresie kultury: dokończenie odbudowy Zamku z przeznaczeniem go na muzeum, rozbudowę Biblioteki im. Łopacińskiego, modernizację teatrów — na Starym Mieście (druga scena — kameralna) i im. Osterwy (polepszenie warunków dla Filharmonii) oraz stworzenie odpowiednich warunków dla już istniejącego LDK. W następnym etapie ma przyjść kolej na inwestycje nowe, z których pierwszą stanowić będzie właśnie nowy teatr.

Niewątpliwie jest w tym założeniu dużo słuszności. Sytuacja do dyskusji jest tym trudniejsza, że wszystko jest pilne, a środki niestety jeszcze nie wystarczające. Ale właśnie ze względu na szereg środków rzecz wymaga drobiazgowego rozpatrzenia. Jaką podstawę podstawić rozpatrzenia? Wydaje się, że o kolejności przeprowadzania inwestycji powinna decydować funkcja, jaką mają one spełniać. Funkcja mierzona ilością konsumentów tej czy innej dziedziny kultury. Wtedy bowiem inwestycja jest najbardziej opłacalna — w sensie społecznym oczywiście, nie finansowym. A chyba nikt nie zaprzeczy, że wytwórcą dóbr kulturalnych, które w wymienionym wyżej układzie mają najwięcej konsumentów, jest właśnie teatr. Siła jego oddziaływania jest zapewne również największa. Stąd priorytet teatru.

Jeżeli chodzi o salę widowiskową Lublin znajduje się obecnie rzeczywiście w sytuacji raczej tragicznej. Ale jak się okazuje z rozmów, niewielu działaczy kulturalnych wie, że zanim rozpoczęlibyśmy według planu budowę sali przy ul. Prusa — Północnej, będzie już gotowa większa sala w ośrodku sportów wodnych przy ul. Świerczewskiego. Nie wyobrażam sobie, aby sport mógł ją w pełni wykorzystywać. W harmonogramie zajęć zostanie dużo czasu, aby poza boksem lub siatkówką organizować tam różne imprezy masowe, występy zespołów w rodzaju „Mazowsza”, „Zgaduj-Zgaduli” czy wielkie koncerty estradowe. Zresztą w tym samym mniej więcej czasie ma być gotowy — według zatwierdzonego przez PMRN projektu — teatr letni w ramach tzw. Parku Rusałka, na skarpie poniżej ul. Dąbrow-

skiego. W wielu wypadkach można przemieścić i tu przeniesić różne imprezy sportowe, organizując w sali ośrodka imprezy kulturalne, wymagające lepszej akustyki, reflektorów itp.

Oczywiście można sprawę postawić i tak: samą salę przy ul. Prusa budujemy później, w pierwszym etapie chodzi o pomieszczenie dla LDK. Ale przecież i architektonicznie i technicznie sala stanowić musi główny element całego kompleksu. Czy będzie technicznie możliwe, a finansowo opłacalne, budowanie elementów pobocznych? Bo nieunikniona później przeróbka instalacji, maksymalne ograniczenie placu budowy samej sali, prowadzenie wykopów tuż obok istniejących już budynków, wyłączenie z góry możliwości użycia wielkich dźwigów (chyba koniecznych przy budowie dużej sali) — wszystko to w praktyce na pewno się nie opłaca.

Jestem z całym uznaniem dla pracy LDK. Zwłaszcza, że wykonuje się ją w naprawdę ciężkich warunkach lokalnych. Ale za dwa lata ukończymy odbudowę skrzydła północnego Zamku, który ma być w całości przeznaczony na muzeum. Szanując bardzo i tego rodzaju placówkę. Ale gdy w ostatecznym rachunku znowu przychodzi do decydowania: muzeum czy teatr — opowiadam się ponownie za teatrem. Ze względu na ilość konsumentów i siłę oddziaływania. Odbudowane zaś skrzydło może — oczywiście tylko w pewnym stopniu — polepszyć warunki i muzeum, i LDK.

Budowa nowego gmachu teatralnego rozwiązałaby także i inne problemy. Przewidywana w planie „modernizacja teatru im. Osterwy” przewiduje wydatkowanie w perspektywie 25 milionów zł, z czego 3 w bieżącej pięcioletniej. Poza właściwą modernizacją przewiduje się rozbudowę gmachu wzdłuż ulic Osterwy i Pstrowskiego. Myślę, że przy przyjęciu koncepcji nowego teatru gmach obecnego należy poddać tylko prawdziwej modernizacji, rezygnując przynajmniej na 10 czy 15 lat z rozbudowy. Opróżnione przez teatr dramatyczny sale i zaplecze mogłyby objąć i filharmonia i operetka. Małżeństwo wprowadzić nie byłoby doskonałe, ale przecież warunki dla obu tych instytucji byłyby bez porównania lepsze od obecnych. Zwłaszcza, że już w przyszłym roku, a najdalej za dwa lata rozpoczyna się budowa nowego budynku dla szkoły muzycznej, a więc przestrzeń życiowa filharmoniczno-operetkowego małżeństwa byłaby jeszcze większa.

Jasną jest rzeczą, że ewentualna zmiana zatwierdzonego już planu pięcioletniego nie jest łatwa i nie może być podejmowana po jednym artykule. Ale autorowi chodzi przede wszystkim o sprowokowanie publicznej dyskusji, której przed zatwierdzeniem, a nawet przy projektowaniu, niestety nie było. Zapewne rzucone tu propozycje wywołają w tym czy innym ośrodku działaczy kulturalnych ostre sprzeciw. Ale chyba otwarta dyskusja będzie rzeczą najbardziej właściwą i potrzebną. Dla nas wszystkich.

Jerzy Dostatni



PAŁAC MAŁACHOWSKICH W NAŁĘCZOWIE

HENRYK GAWARECKI

W ostatnich dniach marca br. zakończone zostały — prowadzone od kilku lat — roboty adaptacyjne i konserwatorskie w pałacu Malachowskich w Nałęczowie. W niedługim czasie zostanie on oddany do użytkowania na cele kulturalno-społeczne i uzdrowiskowe. Z tych względów warto przypomnieć historię tego najcenniejszego obiektu zabytkowego Nałęczowa.

W 1751 r. Stanisław Malachowski, starosta wawolnicki i Pułkownik Znak Pancernego Wojsk Jego Królewskiej Mości, nabył dobra Bochotnica. W trzeciej ćwierci XVIII wieku, dla żony swej Marianny Potockiej, rozpoczął wznosić wspaniały pałac, a całą rezydencję od swego herbu — Nałęcz — nazwał Nałęczowem.

Nieznane są dokładne lata budowy pałacu. Z dokumentów archiwalnych

zachowała się jedynie umowa zawarta w październiku 1772 r. przez architekta Ferdynanda Naxa z Berkiem Lewkiewiczem — szklarzem. Ten ostatni podjął się oszklić wszystkie okna w pałacu w liczbie 39 — „pięknie, doskonale, mocnotrwało i nienagannie”.

Umowa dała podstawę do wysunięcia przypuszczenia, że autorem projektu pałacu był Nax i że w końcu 1772 r. budynek znajdował się w fazie prac wykończeniowych. Nie jest niestety znana data rozpoczęcia budowy, należy jednak przypuszczać, że roboty trwały co najmniej kilka lat.

Nieregularny kształt rzutu poziomego pałacu (zbliżony do kwadratu) oraz znaczna grubość murów parteru, wskazuje na to, że pałac ostateczną swą formę otrzymał w rezultacie rozbudowy wczesniej tu istniejącego obiektu. Dodatkowym argumentem zachodzącym tu zmian jest nietypowe rozwiązanie pomieszczeń reprezenta-

cyjnego I piętra pałacu. Sala Balowa usytuowana jest nie na osi klatki schodowej, lecz asymetrycznie przy jednym z naroży budynku.

Jeśli chodzi o osobę Naxa, to nie jest pewne, czy był on projektantem, czy tylko kierownikiem budowy. Wiadomo jedynie, że w tym samym czasie prowadził przebudowę pałacu dla Lubomirskich w pobliskim Opolu, realizując projekt Dominika Merliniego. Ponieważ pałac w Nałęczowie był obiektem skromniejszym, być może, iż w tym wypadku wystarczył jako projektant nieco młodszy i mniej znany Nax.

Pałac jest budynkiem piętrowym, nakrytym wysokim mansardowym dachem. Architektura zewnętrzna jest nader skromna. Jedynie elewacja główna — zachodnia — zwieńczona jest w części środkowej półkolistym frontonem; na nim umieszczone są kartusze z herbami Potockich i Malachowskich — otoczone festonami i podrzymywane przez putta. Zwraca uwagę fakt, że choć pałac stawał Malachowski, na uprzywilejowanym miejscu (tj. po lewej stronie), wbrew powszechnie stosowanemu zwyczajowi, umieszczony został herb Potockich — Pilawa, a więc herb żony właściciela. Można by zatem przypuszczać, że pałac był stawiany specjalnie dla Marianny Malachowskiej. Nie doczekała się ona zresztą ostatecznego wykończenia budynku, zmarła bowiem w lipcu 1772 r.

Pomieszczenia parteru pozbawione są bardziej reprezentacyjnego charak-

teru. Natomiast pierwsze piętro zaskakuje bogactwem wystroju, który dawniej był jeszcze obfitszy. Najwspanialej prezentuje się Sala Balowa. Sufit i ściany pokryte są dekoracją stiukową wysokiej klasy artystycznej. Jest ona szczególnie interesująca pod względem stylu. Użyte motywy traktowane są z rokokową delikatnością i płaskością, choć brak im tak charakterystycznej dla rokoka asymetrii, natomiast występują wśród nich elementy baroku. Klasycyzyczny smak jest zaledwie czytelny i wyraża się przede wszystkim w tematyce niektórych płaskorzeźb, jak Kuźnia Wulkana (nad kominkiem) lub Puszka Pandory.

Pozostałe sale I piętra są również dekorowane boazeriami oraz wyposażone w kominki i lustra. Do początku XX w. większość sal miała malowane supraporty ze scenami mitologicznymi i o tematyce morskiej.

Okres pierwotnej świetności rezydencji w Nałęczowie trwał krótko. W 1778 r. Stanisław Malachowski ustąpił starostwo i dobra swemu krewnemu Antoniemu Malachowskiemu, Sekretarzowi Wielkiemu Koronnemu, a sam przeniósł się w Kieleckie. Nowy nabywca nie traktował już Nałęczowa jako swej rezydencji. W okresie wojen napoleońskich puścił nawet dobra w dzierżawę. Pewne zainteresowanie pałacem wykazywał syn poprzedniego — Ludwik Malachowski, który około 1821 r. modernizował

BOHATEROWIE ODCHODZĄ

(Dokończenie ze str. 3)

ulomki, klasztorów dziewięć i gdzieś niedziedzi domki... „Kiedy stanęło się w takim otoczeniu, ogarniał człowieka strach przed perspektywą życia w takim środowisku. Jak można tu żyć? A jednak żyli tutaj ludzie, nie zdając sobie sprawy z regresu i zacofania swego otoczenia.

Nieliczni przedstawiciele inteligencji najczęściej zamykali się we własnym środowisku, czas płynął im na brydżu, plotkach, waśniach i rozróżkach, pelen rezygnacji i bezgrzesznej nudy...

Czyż jednak mogło być inaczej? Mogło. Po pewnym czasie ludzie ci zaczęli się buntować:

— Nie chcemy dalej żyć w takich warunkach. W Annopolu musi być inaczej!

Bunt annopolskiej inteligencji nie miał jednak w sobie nic z romantycznych porywów Judyma. Stworzono po prostu komitet aktywizacji, który w sposób naukowy i metodyczny, rozważając wszystkie aspekty gospodarcze, opracował plan aktywizacji gospodarczej, społecznej i kulturalnej swego miasteczka. Plan ten przewidywał uruchomienie nowych zakładów pracy, inwestycje komunalne i kulturalne, rozwój nowych form działalności gospodarczej, łączność miasta ze wsią itd., itd. Nad planem tym pracował ekonomista-wicedyrektor miejscowej kopalni fosforytów, lekarz, kilku nauczycieli, lekarz weterynarii i inni. Zdobywszy dla swych planów gorące poparcie władz województwa, przystąpili do generalnej batalii.

Już obecnie w Annopolu tworzy się przedsiębiorstwo robót komunalnych oraz spółdzielnię wyrobów z wikliny. Zaawansowane są prace nad stworzeniem średniej szkoły typu zawodowego. Dzięki czynom społecznym zaniedbane miasteczko z dnia na dzień zmienia swój wygląd zewnętrzny. W dalszych planach jest ośrodek sportów wodnych, sala kinowa, klub...

Za parę lat inaczej będzie wyglądał Annopol. Zniknie zaniedbanie — śmiercią naturalną umrą prowincjonalne kompleksy.

A za Annopolem poszli inni. W wielu miasteczkach Lubelszczyzny działacze przystępują do podobnej batalii. Stoczek Łukowski, Michów, Bilgoraj i inne ośrodki zaczynają szukać dróg wyjścia z zacofania i marazmu. Miejscowi przedstawiciele inteligencji stają na czele pięknego, nader pożytecznego ruchu... Nie są samotni jak Judym. Nie przegrywają jak on.

— Nie pytałem doktora Petera, czy Judym jest jego ideałem. Po prostu nie było na takie teoretyczne rozważania czasu. Dr Peter zajmuje się bowiem zawsze jak najbardziej realnymi sprawami. Podjąwszy przed wielu laty pracę lekarską w Tomaszowie, miasteczku rzucanym na sam koniec województwa lubelskiego, w środowisku niesłychanie zaniedbanym, zniszczonym działaniami wojennymi i długim okresem ciężkich walk z faszystowskimi bandami ukraińskimi, postanowił na swoim polu w dziedzi-

nie służby zdrowia odrobić wszystkie te zniszczenia i zaniedbania. Zaczął od tworzenia najbardziej prymitywnego ośrodka leczenia, od walki ze znachorami i zamawiaczami. Potem przyszedł następny etap działania. Postanowił wybudować duży, nowoczesny szpital. Nie była to łatwa sprawa. W tych trudnych, biednych latach problemem była każda cegła i worek cementu, każda wydana na inwestycje złotówka. Mimo to szpital rósł. Decydowała o tym zarówno energia doktora Petera, jak i wielu innych działaczy terenowych, którzy całym sercem poparli jego szlachetną pasję.

Obecnie szpital ten należy do najlepszych, najlepiej wyposażonych i prowadzonych w województwie lubelskim. Dalsza rozbudowa trwa. Ale dr Peter nie odpoczywa. Teraz pragnie ruszyć z ofensywą na wieś, stworzyć wszędzie wzorowe placówki zdrowia, odpowiednio wyposażone i kierowane przez fachowy personel...

Nie wiem, czy Judym jest ideałem dla dr Petera... Wiem jednak, że dr Peter równie ostro i bezkompromisowo walczy o uznanie dla spraw zdrowia i higieny w powiecie, w województwie, nierzadko kołacze do najwyższych urzędów stolicy. Jest twardy i nieustępliwy. Ale zapał i upór przynoszą piękne wyniki. I w tym również zawiera się zasadnicza różnica.

Takich historii mógłbym Ci, drogi nauczycielu, opowiedzieć znacznie więcej. Zwłaszcza ostatnio, w kampanii wyborczej. W setkach wiosek i dziesiątkach miast Lubelszczyzny spotykałem wielu, bardzo wielu działaczy społecznych ogarniętych piękną, szlachetną pasją pracy dla swojego środowiska. Układają plany aktywizacji, organizują placówki i przedsiębiorstwa, prowadzą zespoły kulturalne, badania etnograficzne... Ale nie są to już skłócenia ze światem Judymowim, nie są to umierające w chłopskiej chacie „Siłaczki”. Dla tamtych nie ma już miejsca, przeminęli, bo przeminęła już epoka, w której bezwzględnie rządziły wilcze prawa poniżenia i wyzysku. A jednostki buntujące się przeciw tym prawom skazane były na samotność i bezdomność.

I dlatego w cenę dziś rosną inne cechy niż romantyzm i altruizm. Dziś decyduje konkret i rzeczowość, umiejętność organizacji i współzycia ze środowiskiem, decyduje dobra robota.

Nie potępiam więc swych uczniów. W ich wypracowaniach jest podświadome być może, odczucie tej wielkiej zmiany społecznej, jaka się u nas dokonała. To zresztą zrozumiałe. Przecież wzrastają oni w zupełnie innych warunkach.

I dlatego traci swój patos i wielkość doktor Judym. Dlatego odchodzą samotni bohaterowie. I choć szczerze ich kochałem, myślę, że odejście to oznacza zwycięstwo nowych, na pewno lepszych, piękniejszych czasów.

Lesław Gnot

drugie piętro oraz wystawiono wysoką pretensjonalną wieżę, a całemu obiektowi narzucono eklektyczny detal architektoniczny¹.

Wszystkie te naleciałości usunięto podczas prac remontowych i konserwatorskich w latach 1957—61, doprowadzając budynek do pierwotnej świetności.

Henryk Gawarecki

- 1) WAP — Lublin; Ks. Gr. Lub. 317, f. 539.
- 2) WAP — Lublin; Archiwum Małachowskich z Naleczowa — fasc.
- 3) Wł. Tatarakiewicz, „Opole i Naleczów — Merlina i Nax”, (Biuletyn Historii Sztuki, R. 1956, nr 2), s. 251.
- 4) WAP — Lublin; Ks. Gr. Lub. 426, f. 822.
- 5) WAP — Lublin; Księga aktów cywilnych — Bochońnica; R. 1812, str. 44 — wy mieniony Józef Zukowski, cześnik lukowski poseesor klucza Naleczowskiego.
- 6) K. Biernacka, „Podróż...”, s. 21.
- 7) Trippilin, „Wycieczki lekarza Polaka po własnym kraju”, Tom czwarty, Wilno 1858, ss. 147—8.
- 8) WAP — Lublin; R. G. L. — Wydział Bud. Nr 18 1878—79 r. — Kopia planów.

By cały naród lepiej mówił i pisał po polsku...

(Dokończenie ze str. 3)

do niego przez dom wykoślawienia i zniekształcenia. Ilu jest u nas rodziców, którzy zdają sobie sprawę ze swojego szkodliwego dla własnych dzieci postępowania? Co robi się, by ogólni rodzicowie uświadomić właściwe metody kształtowania języka ich własnych dzieci? Dziedzina ta leży prawie odłogiem i czas najwyższy podjąć szeroko zakrojoną akcję w kierunku przeorania tego odłogu plugiem pełnej świadomości. Orka taka to oczywiście tylko jedna z wielu metod walki o język ojczysty — ogrom innych metod spoczywa na barkach polskiej szkoły.

Postulatowi dotyczącemu walki o taki język nie przeszkadza bynajmniej świadomość, że językiem ojczystym posługujemy się przede wszystkim na zasadzie automatyzacji, tj. bez pełnego w każdej chwili mówienia udziału w nim kontrolującej świadomości językowej. „Mówimy bowiem zbyt szybko, by mieć czas na nieustanne uświadamianie sobie poszczególnych form językowych i zastanawianie się nad doбором i użyciem tych form — cały przebieg mówienia opiera w zasadzie na pewnych nawykach, rządzonych się i utrwalanych drogą naśladowania. U podstawy tych nawyków i przyzwyczajzeń leży cały system ustalonych wskutek ciągłego ich odtwarzania skojarzeń językowych”, którego wykrywaniem i kodyfikacją zajmuje się gramatyka. Ta na pozór nudna i obrzydliwa uczniom gramatyka. I związana z nią, rzekomo trudna nasza ortografia, w której kształcie kryje się często bogata historia naszych wyrazów.

Perspektywy

(Dokończenie ze str. 2)

tysięcy w 1960 r., czyli o 10,3%. Poglówie trzody chlewnej w tym samym czasie wzrosło z 1,025 tysięcy sztuk do 1,285 tysięcy sztuk czyli o 25,4%. Skup żywcza ogółem wzrósł o 75,5%.

Rozwój rolnictwa warunkowany był w dużym stopniu rozwojem sieci drogowej. Toteż w minionej pięcioletce zwrócono dużą uwagę na budowę nowych dróg oraz modernizację starej sieci drogowej. W latach 1956—1960 na terenie województwa lubelskiego wybudowano 585 km dróg o nawierzchni twardej. Wskaźnik gęstości sieci dróg bitych wzrósł w tym czasie do 14,6 km na 100 km² w 1960 r.

Poprawa warunków materialnych, bytowych i socjalnych ludności w okresie ubiegłej pięcioletki

Jako najbardziej ogólny miernik w ocenie warunków materialnych lud-

Jednej i drugiej trzeba należycie uczyć lub uczyć się gdyż tylko wtedy nauka języka ojczystego będzie mogła odegrać przeważną rolę w walce o język.

Ostatni, VIII Ogólnopolski Konkurs Teatrów Poezji i Recytatorów, w którym wzięły udział setki uczniów, studentów i amatorów, pozwolił na zebranie bogatego materiału, świadczącego o dwu aktualnych zjawiskach wiążących się z troską o kulturę żywego słowa. Pierwsze z nich to zjawisko głęboko wzruszające, świadczy bowiem, że w szeregach młodzieży rośnie umiłowanie ojczystego języka, umiłowanie słowa jako podstawowego tworzywa literackiej wypowiedzi. Niestety zjawisko drugie każe poważnie pomyśleć o wyraźnych jeszcze niedostatkach, przede wszystkim w dziedzinie dykcji, tj. prawidłowej wymowy poszczególnych polskich głosek oraz ich zespołów. Pod tym względem stwierdza się zarówno wady wymowy, jak i jej błędy. Jedne i drugie powinny stać się przedmiotem usilnej walki o zdecydowaną poprawę obecnego stanu rzeczy; poprawie tej należy wyznaczyć ważne miejsce w całokształcie walki o niekazitelną język.

Podjęmy tę walkę w warunkach trudnych, będzie więc ona ciężka i długa, ale musimy ją wygrać, ażeby ci, którzy przyjdą po nas, mogli z uzasadnioną dumą narodową powtórzyć za Mikołajem Rejem:

A niechaj narodowie wzdry
postronni znają,
I Polacy nie gęsi, iż swój język
mają.

Stanisław K. Papierkowski

ności można przyjąć piętne dochody ludności. W 1960 r. dochody piętne w przeliczeniu na jednego mieszkańca w województwie lubelskim wynosiły 7.840 zł, a w roku 1956 — 3.910 zł. Oznacza to wzrost o 105,0%. Zasadniczym czynnikiem decydującym o warunkach bytowych ludności jest sytuacja mieszkaniowa. Na skutek wybudowania w ubiegłej 5-letce 33 tysięcy izb wskaźnik zagęszczenia na 1 izbę w miastach zmniejszył się z 2,0 osób w 1955 r. do 1,8 osób w 1960 r.

O poprawie warunków lecznictwa zamkniętego świadczy liczba łóżek w szpitalach przypadających na 1000 mieszkańców. Wskaźnik ten wynosił 3,0 łóżka w 1955 r. i wzrósł do 3,4 łóżek w 1960 r.

W ten sposób zakończyliśmy skrócony z konieczności przegląd analityczny rozwoju gospodarki województwa lubelskiego w okresie poprzedzającym realizację nowej pięcioletki. W części drugiej niniejszego artykułu zajmijmy się omówieniem zadań planu 5-letniego na lata 1961—1965, a tym samym nowego etapu rozwoju gospodarczego Lubelszczyzny.

Brunon Wilczewski

Książka lubelska zdobywa uznanie

(Dokończenie ze str. 4)

w Wydawnictwie znajdują wszelkie wspomnienia i pamiętniki. Rzecz jasna, że nie chodzi tutaj głównie o literacką stronę, ale faktograficzną.

Do pomyslanej szerzej akcji można zaliczyć kontynuację wydania dzieł wszystkich Józefa Czechowicza. W 4 tomach zostaną zebrane jego poezje i tłumaczenia, proza i dramaty oraz listy. W ostatnim tomie znajdzie miejsce opracowanie twórczości poety.

Niezależnie od tych ogólnych kierunków Wydawnictwo posiada w planach perspektywicznych szereg ciekawych pozycji innego rodzaju. W roku 1962 prawdopodobnie ukażą się „Wspomnienia chełmiekie o „Kamieniu” z lat 1933—1939”, K. A. Jaworskiego. Będzie to bardzo frapująca pozycja, choćby z uwagi na rozległe kontakty założyciela „Kamienia” z czołowymi poetami polskimi, a także wszystkich krajów słowiańskich. W tomie tym — należy przypuszczać — K. A. Jaworski wykorzysta liczne korespondencje. W planach W.L. na rok 1962 znajduje się też powieść młodzieżowa Anny Kamińskiej zatytułowana „Na Bronowicach”. Zbiór anegdot sądowych, w tym bardzo dużo związanych z Lubelszczyzną, opracowuje Romuald Karaś. Zostanie wydany tomik wierszy lubel-

skiej poetki Franciszki Arnsztajnowej. Zamiast osobnych tomików poetów lubelskich wydawnictwo zamierza przygotować antologię współczesnych poetów lubelskich. Zresztą można byliby wymienić jeszcze wiele nazwisk autorów i tytułów planowanych książek. Coraz częściej dyrektor W.L. otrzymuje nowe propozycje, w tym sporo od pisarzy z różnych środowisk literackich.

Najbardziej pocieszającym momentem jest fakt, że o książce lubelskiej mówi się coraz częściej. Mówi się o niej w Warszawie, Krakowie i na Wybrzeżu. Ocenia się ją w środowiskach nauczycielskich, plastycznych, literackich i naukowych. Pisze się o niej w wzrastającym uznaniem. Bo książki lubelskie stają się coraz bardziej wartościowe pod względem tak treściowym, jak i graficznym. A sprawa oprawy graficznej wcale nie jest bagatelna, zdaje sobie z tego doskonale sprawę dyrekcja Lubelskiej Drukarni Prasowej, która realizuje wszelkie zamówienia W. L. i która, szczególnie w osobie dyr. Władysława Jakubowskiego, nadzwyczaj serdecznie współpracuje z Wydawnictwem, by wspólnym wysiłkiem produkować książki, które zdobędą uznanie czytelników.

Leszek Gzella

i rozszerzał urzędzenia kuracyjne. W latach tych przebywała również w Naleczowie Konstancja z Malachowskich Biernacka, autorka kilku książek dla młodzieży. W „Podróży z Włodawy do Gdańska powrotem do Nieborowa w 1816 r.”, wydanej we Wrocławiu w 1923 r., tak pisze o Naleczowie „...wśród gór wapiennych, porośniętych świerkami, tryszczy źródło zdrowia, w bliskości łaźniów wygodnych, do brze usłużonych, które z Naleczowa czynią najmiłszy punkt schadzki letniej...”⁶.

Zainteresowanie Naleczowem i właściwościami leczniczymi jego wód nie trwało długo, już w połowie XIX wieku nie pamiętano o istnieniu źródeł mineralnych⁷.

Pałac ulegał powolnej dewastacji. W 1878 r., w okresie przystosowania obiektu do celów nowo utworzonego uzdrowiska, rozebrano wysoki lamany dach i wybudowano — według projektu architekta Karola Kozłowskiego —

WYPRAWY PO ZŁOTE RUNO

JANUSZ BIAŁECKI

WYPRAWY PO ZŁOTE RUNO

KIEDY w dwudziestych latach naszego wieku Tadeusz Boy-Zeleński „wynalazł” coś, co nazywał wówczas „moimi objazdami pasterskimi”, była to rewolucja na miarę co najmniej jajka Kolumba. Ten Boy-„rozpusznik”, ten Boy-instytucja, Boy-tytan erudycji do obejrzenia na miejscu, „na półmisku”, Boy do zjedzenia kolacji razem ze swymi czytelnikami w Radomiu, Sosnowcu i kilkudziesięciu innych miastach Polski — cóż to był za przewrót kulturalny, a nawet obyczajowy!

Przewrotem — ilościowo biorąc — tygielkrotnie większym była, zainicjowana w 1947 roku przez Spółdzielnię Wydawniczo-Oświatową „Czytelnik”, akcja spotkań autorów i czytelników. To już nie jeden Boy, lecz kilkunastu Morcinków, Andrzejewskich i Rusinków i kilkuset mniej słynnych literatów systematycznie zamieniali się w „pasterzy” i — przynajmniej — runo było tu istotnie złotym runem. Te kilkadziesiąt tysięcy literackich rendez-vous przyniosło wręcz nieobliczalne skutki. W pewnej bibliotece pokazywano mi procentowy wykaz najbardziej „branych” autorów i oto obok, oczywiście, oczywiście — Kraszewskiego, Sienkiewicza, Prusa i Orzeszkowej, wyskoczyło nagle nazwisko współczesnego, o dziwo, pisarza, ani skądinąd specjalnie dobrego, ani popularnego. Ten właśnie pisarz osiągał w badanej przeze mnie bibliotece po-sienkiewiczowskie laury czytelnictwa!

A, bo widzi pan, on był u nas przed paru laty z wieczorem autorskim — tłumaczy zaraz bibliotekarka. No tak. Czytelnik widzi na okładce litery zbiegające się na przykład w nazwisku „Andrzejewski” — widzi i bardzo często nie widzi poza tymi literami nic, prócz jakiegoś mglistego zarysu. A tu nagle można pisarza zobaczyć, „dotknąć”, porozmawiać z nim...

Morcinek miał w 1950 roku wieczór autorski w szkole, do której wówczas chodziłem — powiedział mi kiedyś znajomy — i od tego czasu wszystko, co dotyczy tego pisarza, dotyczy również mnie. To nieco śmieszne, ale ja czuję się przez to spotkanie — moje pierwsze spotkanie z pisarzem — formalnie spokrewniony z Morcinkiem!

SHERLOCK HOLMES, CZYLI „A SŁOWO STAŁO SIĘ CIAŁEM”

Czytelnicy lubią przyoblekać w ciało bohaterów swych ulubionych książek. I tak w Londynie stoi najzupełniej realnie dom przy Bakerstreet, w którym mieszkał Sherlock Holmes, Conan Doylewski detektyw. Ba, w tym domu-muzeum wisi nawet cała kolekcja ulubionych fajek Sherlocka... Miejscowość opisana przez Marcellego Prousta jako Combray przybrała potem istotnie tę nazwę, według paradoksu Oscara Wilde'a, iż: „życie naśladowuje sztukę”. A u nas — przykładowo tylko: miejsce, w którym Bohun pojedynkował się z panem Wołodyjowskim...

Tak samo lubią czytelnicy przyoblekać w ciało i krew swych ulubionych autorów. Rzecz jest o tyle łatwiejsza, że wielu spośród tych pisarzy — to ludzie istotnie z ciała i krwi, operacja należy więc do prostych.

ŚWIADOME... PASTERSTWO

Oczywiście i te bardzo dobre stare czasy, kiedy to spotkania liczyło się na tysiące, miały swoje cienie. Często wysyłano pisarzy „od górnicy” i człowiek pióra starał napole oko w oko z pustą, albo — co na jedno wychodzi — z obojętną salą. Wypadki takie były co prawda w mniejszości, niemniej jednak były i rzutowały nieprzyjemnie na całą jaśniejszą resztę.

Jakże łatwo można teraz uniknąć podobnych martwych punktów: szkoła, fabryka, biblioteka, dom kultury, klub

społeczno-kulturalny — wszystkie te placówki same wybierają sobie pisarza. Co jednak nie jest jeszcze jednoznaczne, że wszyscy uczestnicy spotkania orientują się dobrze w twórczości swego gościa!

I tu taka kwestia techniczna: wychodzi obecnie tyle książek, że tylko zawodowcy literatury — i to też niezaradnie — mogą wyznać się na bieżącej i przeszłej produkcji literackiej. A co ma robić przeciętny czytelnik, który „trafi” najwyżej dwie — trzy książki miesięcznie, gdy spotyka się z pisarzem, znanym mu tylko piąte przez — dziesiąte lub nawet dziesiąte — przez — dwudzieste?

Właściwy rezonans sali może zapewnić pisarzowi dopiero świadome zorganizowanie spotkania. Świadome działanie jest tutaj równie niezbędne, jak w innych nieco sprawach — świadome macierzyństwo...

A więc: sprowadzanie do miejscowej księgarni książek pisarza przed spotkaniem. Przed! Pewnie, jest z tym trochę kłopotu i nawet dużo biegania lub pisania do księgarni mającej jeszcze na składzie starsze lub nowsze pozycje zapraszanego pisarza.

NIE WYLEWAC DZIECKA!

Ze względu na te i inne techniczne strony spotkań z literaturą — przydałby się jakiś fachowy opiekun pisarskich randek. Bo u nas wyłano dziecko razem z kąpielą: po okresie „administracyjnym”, napęczniałym o wymiary kilkumastoma tysiącami spotkań odgórnich, nastąpił okres „antyanministracyjny”: pisarze spotykają się albo całkiem bez żadnych pośredników, „na własną rękę”, albo ta ręka przedłuża się w wiele ramion: Związek Literatów, Towarzystwo Wiedzy Powszechnej, domy kultury, biblioteki, szkoły, biura, fabryki, garnizony...

Ta spontaniczność ma swoje uroki, ale nawet bardzo uroczy pisarz nie mają w swym talencie talentu organizacyjnego i — handlowego, bo i taki aspekt sprawy trzeba wziąć pod uwagę właśnie dla dobra Sztuki i wielu pisarzy po spotkaniach nie podziurzy i nie sprzedaje swoich książek z wyżej już omówionych względów technicznych.

Wiemy, wiemy, pisarze mają alergię „na temat” jakichś Centralnych Administracji Spotkań. Ale przecież nawet w bardzo stare dzbany można nalać całkiem świeży napój.

I wychylić nim toast za zdrowie pasterzy, jeżdżących po Polsce w wyprawach po złote runo spotkań AUTOR — CZYTELNIK, randek tak nieraz pięknych, jak scena randki bałkonowej Romea i Julii.

O czym pisała „Kamena” przed 25 laty

Podwójny nr 8/9 (28/29) „Kamena” za kwiecień i maj zawierał fragment poematu J. Łobodowskiego, wiersze A. Swirszczyńskiej, T. Bocheńskiego, Sł. Bąkowskiego, Wł. Stobodnika, T. Sarneckiego, Jul. Wita, J. K. Weindrauba, J. Splewaka, W. Mrozowskiego, I. Gasiora i A. Bieleckiego, opowiadanie M. Szczepańskiej „W górach”, przekłady z poezji francuskiej St. Napierskiego (Claudel, Duhamel, Gide, Radiguet, du Plessys i P. Eluard), artykuł A. Madeja „Współczesna liryczna czeska”, jego tłumaczenia wierszy Hory, Siefert, Závady i Halasa, przekłady K. A. Jaworskiego (Wolker, Krzeczka, Czarek i Biehl), artykuł Sew. Pollaka o Asieje-wie („Wyrobnik formy”), przekłady K. A. Jaworskiego (Asiejew i Sielwiński), M. Jastruna (Pasternak) i Sew. Pollaka (Pasternak), fragment „Kolchidy” K. Paustowskiego w tłumaczeniu K. A. Jaworskiego, recenzję S. Napierskiego („Piołunu i obłoku” J. Brzechwy), przegląd poezji K. A. Jaworskiego (zbiorki J. Grota, J. Korczakowskiej, L. Pasternaka i S. Piętaka) oraz noty. Wkładka linorytowa Z. Waśniewskiego „Portret artysty”.

Na wstępie numeru w żalobnej ramce: „Ofiarom Krakowa, Czesotochowy, Lwowa i Chrzanowa — krwi robotniczej” hold składa redakcja i wydawnictwo „Kamena”. W notach m. in. wzmianka o zawieszeniu przez władze dwutygodnika wileńskiego „Po prostu” i zesłaniu L. Pasternaka.

45-LECIE PRACY LITERACKIEJ. W kwietniu obchodziła czterdziestolecie swojej pracy literackiej Halina Maria Dąbrowska, autorka „Pracy i miłości”, „Tytańca pracy”, sztuki „Przystań zblakanych” i wielu nowel. W tym roku ukazała się jej książka „Zwierciadło cieni”; autorka pracuje obecnie nad „Pisarzami dwudziestolecia” i prócz tego ma na warsztacie nową powieść i opowiadania. W „Kamieniu” zamieściliśmy parokrotnie utwory Haliny Dąbrowskiej.

W „NOWEJ KULTURZE” i „WSPÓL-CZENNOŚCI” poznaliśmy przed kilku miesiącami przekłady wierszy jednego z młodych poetów radzieckich — Andrzeja Wozniesińskiego. Obecnie w nrze 7 „Nowej Kultury” zamieszczono kilka utworów innego młodego poety — Eugeniusza Winokurowa w tłumaczeniach Anatolia Sterna, który uzupełnił swe przekłady artykulem „Młodzi poeci radziecy”. Wiersze Winokurowa, zwłaszcza „Hamlet” i „Lokator z przeciwną” uderzają świeżością i oryginalnością, choć nie zrywały z tradycją. Szlachetnie brzmia deklaracyjna puęta utworu o poecie: „Lecz choć był wszystkim, w tej wędrówce swojej nie zdradzał siebie — nigdy, ani razu”. W tym samym numerze króciutką piękną impresyjką A. Wozniesińskiego „Gwiazda Gagarina”. Może by warto pomyśleć o wydaniu w języku polskim małej antologii poświęconej młodym poetom radzieckim?

PŁACY NA ŁAMACH „HOSTA DO DOMU”. W nrze 4 tego czeskiego miesięcznika literackiego zamieszczono drobny humorystyczny i „Fak!” Sławomira Mroźka

NOTY

(tłum. Zdenek Smejkal) oraz dwa wiersze Andrzeja Piotrowskiego (tłum. Kamil Bednarz).

NOVA FUNDACJA im. Eug. Balzana, przeznaczona na udzielenie trzech dorocznych nagród za osiągnięcia a) w dziedzinie walki o pokój i braterstwo ludów, b) w dziedzinie literatury, filozofii i sztuki stosowanej i c) w dziedzinie nauk przyrodniczych i medycyny, powstała pod patronatem prezydenta Włoch i Szwajcarii. Nagrody będą wyższe niż z fundacji Nobla. Kapitał na ten cel uzyskano z zapisu włoskiego dziennikarza Balzana, który po przewrocie faszystowskim wyemigrował do Szwajcarii, gdzie zdobył ogromny majątek.

W PARYŻU ukazał się pierwszy numer rocznika „Art de France”. Zawiera 456 str., i odzwierciedla rozwój sztuki od najdawniejszych czasów do współczesnego abstrakcjonizmu.

NIEPOPIRAWNI. Wydarzenia na Kubie znów uwydatniły wrodzony wstręt naszych dziennikarzy do posługiwania się poprawną polszczyzną. Jeszcze raz przypominamy, że po polsku nie mówi się „rece przez (taka proci)” od czekoladki (dawniej od Karel, a teraz od Kuby), tylko „precz z (taka) koma”. A więc — precz z taką polszczyzną!

-kaj-

List do Redakcji

Na horyzoncie spraw kulturalnych w Lubelszczyźnie pojawiły się nowe, radosne światła, orientujące samotnych niekiedy wędrowców poszukujących właściwej drogi dla swych zamiłowań, dla swojej życiowej pasji. Oto w dniach 18 i 19 lutego br. tak zwani „działacze kulturalni” znaleźli się na wspólnej konferencji w sali kolumnowej WRN, przy ul. 22 Lipca w Lublinie. Salę wypełniali ludzie zaproszeni ze wszystkich powiatów naszego województwa, a także zaproszeni goście z innych województw i przedstawiciele partii, Prezydium WRN, nauki i kultury.

Znów trzech nauczycieli z m. Lubartowa znalazło się na tej interesującej konferencji, aby zorientować się w formach pracy adrodzonego regionalizmu lubelskiego.

Ze zjazdów, konferencji i spotkań wychodzą ludzie rozpromienieni, jakoby lepsi, bo lepiej poznani i zaprzyjaźnieni, bo znajdujący wspólny język, bo przekonani, że nie błądzą, lecz idą dobrą drogą do wspólnego humanistycznego celu.

Jakże tu nie wyjść rozpromienionym i podnieconym na duchu, gdy człowiek odnajduje sens swego życia i aprobatę dla form wspólnego, kulturalnego i społecznego działania. Człowiek i środowisko układają pomysłami wzajemny stosunek.

„Kamena” — dwutygodnik społeczno-kulturalny, przez usta redaktora Marii Bechzyck-Rudnickiej, zaprasza do współpracy publicznej przedstawicieli terenu i udziela miejsca na swych łamach sprawom regionalnym.

Witamy tę formę współpracy z uznaniem, bo oddziaływanie prasy staje się w ten sposób bliższe.

Idzie bowiem o to, aby prowincjonalny działacz regionalny publikujący swoje spostrzeżenia i wypowiedzi o problemach terenu mógł przyczynić się do ujawnienia tęsknot i

potrzeb intelektualnych tzw. szarego człowieka, aby humanistyczne hasła w rodzaju „Nauka w służbie mas” miały pokrycie w rzeczywistości, w szczerzej działalności ludzi z górnych regionów, przodujących w nauce i kulturze.

Tak więc pozwalał sobie na marzenia, aby nie tylko czasem łamy „Kamena” były udośćpione w szerszym zakresie, niż dotychczas, wypowiedziom działaczy regionalnych, ale aby Lubartów doznał się również wyjazdowej sesji naukowej z przedstawicielami nauki z lubelskich uniwersytetów, podobnie jak to miało już miejsce w Łukowie i w Chełmie.

Nie chodzi tu o zaspokojenie ambicji „prowincjonalnych pismaków”, lecz o zaspokojenie głodu wiedzy i kultury, głodu wynikającego z upośledzenia prowincji, a może tylko o rozproszenie niepożądanych kompleksów niższości.

Nie chodzi tu o dorywczy „flirt z Melpomeną”, bo człowiek prowincji nie uratuje jednorazowy wyjazd do Teatru Osterwy aby pocieszać się stwierdzeniem, że „Księżyc święcie nieszczęśliwym”, ani odwiedzenie Operetki Lubelskiej, dla jednorazowego rozpozgodzenia swojej smutnej twarzy „wiadkiem „Kwiatu Hawaii”. Chodzi o stały kontakt z kulturą.

Karol Skaruch

KSIĄŻKI NADESLANE

PRZEZ PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

- Bernard Shaw — Kwintesjencja Ibsenizmu, przełożyła Cecylia Wojewoda, 1960.
- Leonia Jabłonkówna — Aleksander Wętko, 1960.
- Israel Jazze Singer — Josie Kaib, 1961.
- Helena Boguszewska — Czekamy na życie, 1961.
- Jurij Bondariew — Ostatnie strzały, przełożyły: Irena Kosłba i Irena Piotrowska, 1960.
- Stanisław Dąbrowski — Adolfinia Zimajer, 1960.
- Pamiętniki dekabrystów. 3 tomy, przełożył: Krzysztof Radziwiłł i Janina Zeltzer, 1960.

JEDNA Z SAL I PIĘTRA PALACU W NALECZOWIE OK. 1890 R. (ze zbiorów H. Gawareckiego)

